Nr. 129. Lwów — Piątek dnia 8 Czerwca. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 8 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Medarda B. | Fteraponta
Jutro: św. Felicyana | Nykyty Jep.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 7
Zachód „ „ 7 „ 50

Długość dnia g. 15 m. 43
Przybyło dnia od wczoraj 0 m.

Przypominamy, że za każdą zmianę adresu (to jest poczty, wsi, tytułu etc.) należy zapłacić 20 ct. z góry. Kto tej opłaty nie uiści, ten nie ma prawa żądać zmiany adresu.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 czerwca.

Według wiadomości z Pesztu, węgierska opinia uważa, że tylko dr. Wekerle może złożyć nowy gabinet, różniący się od poprzedniego tem, że nie będą w nim zasiadali: minister wyznań i oświaty hr. Csaky i minister sprawiedliwości Szilagyi. Pierwszy dlatego, że sam nie chce, przekonawszy się o wielkiej goryczy bezwyznaniowego piwa, którego nawarzył; drugi dlatego, że wciągnięciem osoby Monarchy do drugiej dyskusyi w sejmie nad ślubami, zraził do siebie Cesarza. Co do p. Wekerlego, to zapewniają oddane mu liberalne dzienniki, iż jako szef nowego gabinetu, on już nie potrzebuje obstawać przy żądaniu, aby Cesarz zamianował nowych magnatów, bo to żądanie wypływało z uchwały poprzedniego gabinetu, a skoro ów gabinet nie istnieje, to i jego postanowienia nie mają znaczenia. Jest to rozumowanie słuszne, jeśli się uwzględnia uchwałę tylko gabinetu. Jednak zupełnie inaczej przedstawi się ta sprawa, gdy się uwzględni, że przecież cała liberalna większość z nadzwyczajnym zapałem przyjęła to postanowienie gabinetu i w niem go nietylko utwierdziła, ale niejako zobowiązała do wytrwania. Jeśli więc teraz organa tego stronnictwa zwalniają p. Wekerlego z obowiązku domagania się nominacyi magnatów, to właściwie budują mu złoty most, usuwają tę przyczynę, która obok nietaktu Szilagyi'ego wywołała przesilenie, czyli po prostu rejterada liberałów jest zupełna. Odwrót ten wykonali oni bardzo pośpiesznie, gdy zobaczyli, że Cesarz, gdy hr. Hedervary się cofnął, powołał do siebie kanclerza koronnego Szlavy'ego i wice-prezydenta izby magnatów Banffy'ego, obu dygnitarzy, zgadzających się na śluby cywilne tylko z konieczności. Wtedy widocznie oni spostrzegli, że zorganizowane przez nich owacye uliczne na cześć p. Wekerlego nie sprawiły spodziewanego wrażenia i że domagając się nietylko ślubów cywilnych, ale i reformy izby magnatów, za daleko się zapędzili. Zdecydowali się zatem ratować bodaj owe śluby i gdy tak między nimi stanęło, poczęli zapewniać, że nikt nie może być szefem nowego gabinetu, tylko ten sam p. Wekerle. Skoro tedy stało się tak, jak Cesarz chciał od początku, to być może, iż ulubieniec liberałów otrzyma misyę założenia nowego gabinetu.

Gabinet włoski podał się do dymisyi. Jest to druga niespodzianka, druga — jak mówią w Rzymie — bomba, którą Crispi rzucił w ciągu dni czterech. W sobotę przedstawił on parlamentowi nagły wniosek, aby izba deputowanych wybrała komisyę, któraby opracowała plan reform administracyjnych, czyniących zarząd państwa prostszym i zarazem tańszym. Jak wiadomo, dawniej Crispi żądał pełnomocnictw dla przeprowadzenia tych reform bez udziału parlamentu, na co po wielkiej irytacyi w kraju i po gniewach na Monte Citorio, deputowani zaczęli się godzić, potem nawet uznawać, że inaczej nie można i że słusznie rząd groził, iż w razie odmowy pełnomocnictw, parlament będzie rozwiązany. Kiedy sprawa tak stanęła, Crispi nagle zażądał wyboru komisyi dla opracowania reform, a zatem zrzekł się zamiaru żądania pełnomocnictw dla siebie. Izba, która już przebolała to, że bez niej będzie coś się robiło i rozkoszowała się myślą, iż nie jej złorzeczyć będą oddaleni urzędnicy i ich krewni, przyjęła niechętnie wniosek Crispiego. Za żądanie pełnomocnictw gniewała się ona na szefa rządu o tyle, o ile koniecznie trzeba było okazać przywiązania do form konstytucyjnych, ale w gruncie rzeczy rada była, że bez jej udziału odbędą się przykre przeróbki. Za zrzeczenie się pełnomocnictw rozgniewała się prawdziwie, bo przeróbki muszą być uchwalone, a ponieważ będą dokonane z woli parlamentu, przeto gniew oddalonych urzędników, ich krewnych i przyjaciół, spadnie na deputowanych, którzy już prawdopodobnie nigdy przy wyborach nie zdobędą mandatów. Kiedy odczytano wniosek Crispiego, żądający wyboru komisyi reform, deputowani zaczęli między sobą rozważać, ktoby z nich zgodził się być w tej komisyi i okazało się, że żaden. A kiedy rozpoczęła się dyskusya, to wołano: „Crispi ucieka!" — „Crispi stchórzył!" — „To absurd tak zmieniać przekonania!" — i t. d. Już tedy postanowiono odrzucić wniosek Crispiego, coby było zabawne w obec poprzednich gniewów na żądanie pełnomocnictw i w obec takiej poprzednio miny, że tylko ostatnia konieczność zmusiła posłów do ustąpienia Crispiemu. Ale rząd dał do zrozumienia, że jeśli wniosek gabinetowy wyboru komisyi reform upadnie, to parlament będzie rozwiązany, jak miał być poprzednio rozwiązany, gdyby odmówił pełnomocnictw. Wypadło to wszystko bardzo oryginalnie: jednego dnia rzekł Crispi do parlamentu: „nie dasz mi pełnomocnictw, to pójdziesz precz", drugiego zaś dnia powiedział: „już nie chcę pełnomocnictw, a dasz mi je, to pójdziesz precz". I obie groźby poskutkowały, co stałoby się także w wielu innych krajach, bo rzeczywistość bardzo zmieniła ideę, tkwiącą w parlamentaryzmie. Dziś mandat daje różne korzyści; nietylko zaspakaja słuszną ambicyę, nietylko jest drogą do karyery społecznej, ale tym, co niezbyt wybredni, otwiera wstęp do istnej Golkondy, o czem świadczy Panama i Panamino. Ale mandat coraz drożej kosztuje, gdzie niegdzie — jak naprzykład na Węgrzech podług świadectwa Jokaja — trzeba zań zapłacić całym majątkiem. Lecz to jeszcze nie wszystko, bo bez żadnych kosztów zdobywają mandaty tylko socyaliści i anarchiści, którzy, gdyby napełnili parlament, toby w państwie nie zostawili kamienia na kamieniu, na czem majętni wyszliby najgorzej. Trzeba tedy trzymać się mandatów i nie dopuszczać do przedwczesnego rozwiązania parlamentu — i oto dlatego groźba rozwiązania jest zawsze skuteczna.

Otóż więc w poniedziałek izba włoska małą większością uchwaliła wybrać komisyę reform administracyjnych i aż do przedstawienia przez nią całego planu przeróbek zawiesić rozprawy nad finansowymi projektami ministra Sonnino. Crispi zwyciężył — i wtedy właśnie rzucił drugą bombę: podał się do dymisyi.

Na pozór jest to bardzo dziwne, w gruncie jednak rzeczy przebiegłe. Najpierw, podczas rozpraw finansowych, które się odbywały przez cały przeszły tydzień, spostrzegł Crispi, że minister skarbu Sonnino ma własne poglądy, odmienne od crispiowskich, i przy nich obstaje. Crispi mógł to lekceważyć, dopóki żądał pełnomocnictw, bo zostawszy dyktatorem, jużby potrafił narzucić wszystkim swą wolę. Ale od chwili, jak się zdecydował przerzucić odpowiedzialność za reformy na parlament, musiał już dbać o jednolitość zdań w gabinecie, czyli, musiał postarać się o wyrzucenie z niego ministra Sonnino. Prócz tego ruch socyalistyczny znów się obudził. W kilku miastach prowincyonalnych i w samym Rzymie studenci — wielcy politycy w dzisiejszych czasach — a za nimi tłum zaczął demonstrować, wykrzykując: „Precz z Crispim! precz z Morre'm!" — z owym jenerałem, który uspokoił Sycylię i dotąd ją trzyma w żelaznej garści. Na intencyę zasądzonego na kilkanaście lat więzienia eks-deputowanego de-Felice, który podburzył Sycylię, odbył się żałobny pochód na cmentarz z czarnemi chorągwiami. Wygłaszano burzliwe mowy, podnoszono pięści na Crispiego, grożono bombami itd. Więc Crispi osądził, że dobrze będzie, gdy król i parlament okażą mu zaufanie. Podał się tedy do dymisyi, a poprzedził ją taką manifestacyą, że wszyscy ministrowie oddali mu swe teki do dyspozycyi. Oni więc ufają mu bezwzględnie, ale on jest tak skromny, iż nietylko los swych kolegów, ale i własny złożył w ręce króla. Oczywiście, król jemu powierzy złożenie nowego gabinetu, a więc wyrazi mu swe zaufanie i ułatwi wyrzucenie ministra Sonnino; następnie zaś z gabinetem tak przerobionym stanie Crispi przed parlamentem i znowu od niego otrzyma zaufanie. Potem już będzie mógł powiedzieć socyalistom, studentom i tłumom ulicznych krzykaczy, że kraj i monarcha nie za nimi stoją, lecz za nim, z czego wynika, że niech mu nie brużdżą, bo on będzie z nimi bez ceremonii.

Oto cały sens tej teatralnej sztuki, którą Crispi urządził podaniem się do dymisyi.

Donieśliśmy parę tygodni temu, że szwajcarscy socyaliści zebrali wymagane przez konstytucyę pięćdziesiąt tysięcy podpisów na wniosku, aby państwo poręczyło wszystkim swym obywatelom zarobek, odpowiadający zdolnościom i wymaganiom każdego. Nazywało się to „prawem do pracy". Wówczas dokładnie przedstawiliśmy, że zgodnie z tym wnioskiem, miały powstać państwowe biura, któreby każdemu człowiekowi dawały pracę, jakiej on chce, i zapłatę nie podług wartości roboty, lecz podług potrzeb, do jakich przywykł robotnik. Donieśliśmy także, że zarówno Rada Związkowa (po naszemu mniej więcej Wydział krajowy) jak Zgromadzenie narodowe, czyli sejm, odrzuciły tę pretensyę socyalistów, ale zgodnie z konstytucyą musiały jeszcze oddać ją pod ostateczną decyzyę narodu, który swe zdanie miał wypowiedzieć za pomocą „referendum", czyli za pomocą powszechnego głosowania.

Otóż teraz ono się odbyło, ale powszechnem wcale nie było. Uprawnionych do głosowania pełnoletnich, stale mieszkających w kraju mężczyzn naliczono w tym niespełna pięciomilionowym kraiku osób 650 tysięcy i tyle kart rozdano, ale stanęło do głosowania tylko 360.000 osób. Wszyscy inni na odbytych wiecach oświadczyli, że nad taką niedorzecznością głosować nie chcą. Między oddanemi głosami znalazło się około 70-ciu tysięcy przychylnych socyalistycznemu żądaniu. Oczywiście ani jeden socyalista nie uchylił się od głosowania, a zatem zwolenników tej doktryny jest w Szwajcaryi co najwięcej dziesiąta część obywateli. To bądź co bądź dużo. Dziesiąty człowiek socyalista, dziesiąty nie między zbieraniną z całego świata, ale wśród pełnoprawnych obywateli, to dowód wielkiego rozwoju socyalizmu. Za pomocą referendum pogrzebano teraz koncept o „prawie do pracy", pozostał na razie „obowiązek pracowania" dla każdego, kto chce jeść i mieć dach nad głową. Jeszcze więc większość obywateli uznaje, że pieczone gołąbki nie lecą do gąbki. Ale skoro tak się rozwija socyalizm, to może niedarmo przechwalają się socyaliści, że za parę lat zwyciężą.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 4 czerwca 1894.

Ustawa o handlu na raty, która w pierwszej połowie marca po bardzo gorącej dyskusyi przyjętą została w Izbie posłów, doznała w Izbie panów kilku zasadniczych zmian. Głównemi postanowieniami noweli były: nałożenie kary na wyzyskiwanie lekkomyślnych konsumentów i odbiorców towarów i uregulowanie przynależności sądowej w ten sposób, że kupiec może pretensyę swoją, pochodzącą ze sprzedaży towaru na raty, skarżyć tylko przed sądem tej miejscowości, w której mieszka odbiorca towaru. Paragraf siódmy noweli groził karą aresztu od miesiąca, aż do roku i grzywną od 100 do 2000 złr. temu, kto narzuca lekkomyślnym, nierozumnym i niedoświadczonym konsumentom towary na raty i namawia ich do kupna, przekraczającego w i d o c z n i e ich gospodarczą zamożność, albo też, kto każe sobie płacić takie ceny, że przewyższają one niepomiernie wartość rzeczy sprzedanej. Już w Izbie posłów podnosiły się głosy lewicy przeciw temu paragrafowi. Poseł Sthör domagał się, aby kara wymierzana była tylko wtedy, „jeśli interesa ratalne są tego rodzaju, iż spowodować mogą ekonomiczną ruinę nabywcy". Wskazywano na to, że dziś nie ma już nieuczciwych handlarzy, wyzyskujących interesa ratalne z uszczerbkiem dla odbiorców, że konkurencya, wzmagająca się corocznie, bardzo okroiła zyski tej gałęzi kupiectwa i że grożenie karami aresztu i grzywnami odstraszy tylko uczciwych kupców od dalszego prowadzenia handlu ratalnego. Powoływano się także na orzeczenia przemysłowych izb i towarzystw rękodzielniczych, pobudzono do agitacyi rzemieślnicze koła, przedstawiając im, że w obec takiej ustawy, żaden rzemieślnik nie będzie mógł dostać motorów i maszyn na raty — jednem słowem na całej linii rozpoczęto walkę przeciw noweli rządowej. Mimo to izba posłów przyjęła ustawę bez zmian i ani handlu księgarskiego, ani maszyn i motorów nie wyjęła z pod tych surowych przepisów.

Tymczasem jednak agitacya przeciw noweli nie ustawała. Zbierano dziesiątki tysięcy podpisów od kupców i rzemieślników wrzekomo zagrożonych w swej egzystencyi, uchwalano rezolucye na zebraniach, krytykowano nowelę nielitościwie w pismach fachowych i dziennikach, aby wywrzeć pewien nacisk na uchwały ostateczne izby panów.

Udało się to też poniekąd. Komisya, wyznaczona przez izbę panów celem wypracowania referatu o ustawie tej, poczyniła bardzo ważne zmiany w tekście przyjętym przez izbę posłów. Przedewszystkiem określono handel na raty jako sprzedaż ruchomości, których cena uiszczoną być ma w częściowych spłatach, a które kupującemu oddane zostają na własność przed zupełnem wypłaceniem ceny. Jeśli więc ktoś kupuje maszynę za 500 zł. i 250 zł. płaci zaraz, a 250 zł. ma zapłacić za trzy miesiące, to i taka sprzedaż podpada pod przepisy noweli. Jest to bardzo ważne postanowienie. Kto wymówił sobie prawo odstąpienia od interesu, musi stronie drugiej wrócić wszystko, co otrzymał, wraz z odszkodowaniem, a więc kupiec który sprzedał towar, jeżeli nie może lub nie chce go dostarczyć, musi zwrócić pieniądze wraz z procentami urosłemi, odbiorca zaś oddać musi towar wraz z odszkodowaniem za jego użycie. Powstaje tylko pytanie, kto ocenić ma wysokość takiego odszkodowania, wszelkie bowiem z góry ugodzone cyfry w tym względzie żadnego w myśl ustawy znaczenia nie mają. Wypadnie chyba rzecz oddać sądowi, a to nie przyczyni się do ułatwienia stosunków handlowych tej kategoryi.

Oczywiście z powodu poszkodowania wyżej połowy wartości można obalić kontrakt zawarty. Paragraf jednak siódmy, o którym wyżej wspomniano, a który nakłada karę aresztu i grzywny lichwiarzom kupieckim, przez komisyę izby panów nie został przyjętym. Komisya w motywach swych podnosi, że nie chce bronić lekkomyślności pełnoletnich jednostek i sądzi, że lichwa kupiecka powinna we wszystkich gałęziach handlu, a nietylko w handlu na raty podlegać karom i że byłoby to bardzo niesłusznem, gdyby innym kupcom wolno było bezkarnie to samo robić, co handlarzom sprzedającym towary na raty pod aresztem i karami pieniężnemi jest zakazanem.

Tak rozumowano w komisyi. Nie koniecznie jednak rozumowanie to jest ścisłem, bo jeśli ktoś kupuje za gotówkę, to może wybierać bez ograniczenia swoich dostawców i wtedy jest to rzeczywiście tylko lekkomyślność, która wyzyskiwaną bywa, jeśli zaś ktoś kupuje na kredyt, na raty, to bardzo ograniczony ma wybór między dostawcami i przyjąć musi ich warunki nie z lekkomyślności tylko, ale dlatego, że potrzebuje przedmiotu zakupionego, częstokroć z biedy.

Uznania godna jest zmiana zaproponowana przez komisyę izby panów, że wszystkie sprawy wypływające z handlu ratalnego, o ile nie są drobiazgowe, bez względu na wysokość sumy, a więc i powyżej 500 zł. traktowane będą wedle postępowania sumarycznego. Sądem właściwym zawsze będzie sąd, do którego należy kupujący. Ustawa obowiązuje wszystkie rodzaje handlu na raty (a więc i księgarskiego, bankowego, maszyn i motorów).

Wiec katolicki.

Poznań 5 czerwca.

Wiec katolików polskich, obradujący tu od wczoraj, jest prawdziwie imponującym. Wszystkie wybitniejsze rodziny bez wyjątku z Poznańskiego i z Prus Zachodnich i wszystkie stany są na nim reprezentowane. Wczoraj zgromadzili się uczestnicy w kościele św. Marcina na uroczyste nabożeństwo, które odprawił ks. biskup dr. Likowski; następnie zebrali się w sali Lamberta, która zapełniła się po brzegi. Na umyślnie wzniesionym tronie zasiadł ks. arcybiskup Stablewski, a obok niego zajęli miejsce obaj sufragani i kanonicy obu kapituł, na honorowych zaś miejscach na estradzie zasiedli prezesi obu Kół polskich, Ferdynand ks. Radziwiłł i p. Motty, wielu posłów, oraz dwaj reprezentanci Galicyi, dr. Włodzimierz Kozłowski i ks. Brzeziński z Tarnowa, były Filipin gostyński. Zebranie zagaił przewodniczący komitetu dr. Wicherkiewicz piękną mową w której podniósł konieczność skupiania się pod sztandarem katolickim i stawienia mężnie czoła zgubnym prądom, nurtującym społeczeństwo. Jestto walka ciężka, a jednak konieczna, gdyż od wyniku tej walki zależy przyszłość naszych pokoleń. Nadto podniósł p. Wicherkiewicz w swej mowie, że katolicy polscy, powołując do wspólnego działania katolików niemieckich, mieli na względzie to, żeby utrwalić zgodę dwóch narodowości, złączonych węzłem wspólnej wiary, tym węzłem, który winien powstrzymywać wybuchy uprzedzeń i niechęci.

Po p. Wicherkiewiczu zabrał głos komisarz wiecu p. Kazimierz Chłapowski i wyjaśnił przedewszystkiem, dlaczego wiec obecny zebrał się dopiero w trzy lata po pierwszym wiecu katolików polskich, odbytym w Toruniu. Owóż wiec obecny przygotowany był już na r. 1892 wszelako niepokojące wieści o rozszerzaniu się cholery zmusiły komitet do odroczenia go, zaś w roku ubiegłym odbył się wielki wiec z powodu jubileuszu Ojca św. Następnie omawiał p. Chłapowski zmiany, jakie zaszły od ostatniego wiecu w Toruniu.— „Krótko przed zwołaniem toruńskiego wiecu" rzekł mówca „opuścił ster państwa ks. Bismark, który dla nas i pod religijnym i pod narodowym względem miał tylko katońskie: *Caeterum censeo*.

„Na inny kierunek jeszcze się wtedy nie zanosiło. Stolica św. Wojciecha była osierocona po śmierci zacnego arcybiskupa Dindera. Pamiętamy wszyscy, bo takich wrażeń lata nie mażą, jaki ból szarpał nam serca, kiedy przyszła wiadomość o mianowaniu arcybiskupem kapłana obcego nam krwią, tradycyą, językiem. Dziś na tej sławnej stolicy zasiadł książę Kościoła z krwi naszej, który może liczyć na naszą uległość i przywiązanie. Wspaniała do narodu polskiego Encyklika przyniosła nam, obok rad cennych, wielkie wzmocnienie ducha. — W najnowszem rozporządzeniu językowem widzimy uznanie potrzeby czytania i pisania dla nauki religii w języku ojczystym. Nie odpowiada ono ani prawom naszym, ani pragnieniom naszym. Nie rozciąga się tak daleko, jak mieszka ludność polska, ale jest początkiem, jest przełamaniem bezwzględnego systemu, dowodem, że wytrwałość i cierpliwość może i polityczne uprzedzenia i narodowościowe niechęci zwyciężyć, że konieczność pewnego wymiaru sprawiedliwości zaczyna sobie torować uznanie, co i w prasie niemieckiej coraz częściej widać. Zdaje się więc, że słońce nieco jaśniej nam świeci i Opatrzność wiatr pomyślniejszy pod żagle nam zsyła. Kto zna od lat kilkudziesięciu społeczeństwo polskie, widzieć musi, żeśmy bardzo postąpili w zrozumieniu nauk katolickich, w uznaniu wpływu Kościoła, siły, która narodom w chwilach ciężkich płynie z wiary i ze stosowania w życiu prawd i praw Bożych. Daj Boże, by wiec dzisiejszy tym prawdom jak najszersze i najogólniejsze uznanie i znaczenie zjednał, abyśmy w pracach naszych i walkach naszych religijnych, społecznych i narodowych, coraz bardziej, coraz zgodniej i sforniej stać mogli pod starym naszym ojców sztandarem, pod znakiem Krzyża, o skałę Piotrową oparci.

---

51)

SWAT
Powieść współczesna
przez
Wincentego hr. Łosia.
(Ciąg dalszy).

Widocznie chciała z nim samym powtórzyć tę scenę, na którą ją niegdyś naraził.

— Nie wiesz pani, jaką odgrywasz rolę...

— Ależ wiem, rolę gospodyni w swoim domu — odparła spokojnie.

Pan Artur schwycił się za głowę.

— Czy wiesz pani, czy wiesz, że tam żona Ludwika dostała z powodu pani pomięszania zmysłów?

Panią Waleryę doszła już była wieść o stanie zdrowia Czajskiej. Mimo to słowa hrabiego, stwierdzające tę wiadomość, przejęły ją lekkim dreszczem. Spoważniała i zacisnęła usta. Niezawodnie hrabia przesadzał, a zresztą, gdyby to było i prawdą, cała odpowiedzialność powinna spaść nie na nią, ale na rzeczywistego winowajcę — na pana Artura.

— Zaczekaj pan chwilę... — rzekła po długim namyśle.

Wyszła za portyerę.

— Słyszałeś? — spytała Ludwika.

— Słyszałem... — odparł obojetnie Czajski.

— Będziesz się z nim widział?

— Nie — odparł ze stanowczością, która ją samą zdziwiła.

Chwilę stali naprzeciwko siebie w milczeniu. Ona jeszcze wzruszona, on zły i ponury. Chciano go znowu nagiąć pod jarzmo, które przez dwa lata dźwigał.

— Twoja żona... — szepnęła baronowa.

— Moja żona! — przerwał stłumionym głosem Ludwik. — Spytaj go się, czego on chce jeszcze odemnie? Czy majątku? Oddaję mu go. Żonę mu oddaję, dziecko mu oddaję, ordynacyę jego, wszystko! ale życia własnego mu nie oddam. Chcę żyć, a nie męczyć się...

Baronowa wróciła do saloniku i oznajmiła hrabiemu tonem niemal współczucia:

— Nie mogę nic dla pana uczynić, a Bóg mi świadkiem, że chciałam...

Hrabia opuścił głowę. Nie wątpił, że mówiła tym razem szczerze.

— Żal mi pana — dodała po pauzie. — Tyleś złego sprawił. Nie znałeś Ludwika i zmusiłeś go do życia wstrętnego jego naturze. Może i ja winną trochę jestem, ale tylko w tem, że przyśpieszyłam rozwiązanie. Bo koniec prędzej czy później, byłby ten sam. Rozłączyłeś ludzi, którzy byli dla siebie stworzeni i rozstać się już nie mogą, a natomiast narzuciłeś lekkomyślnie związki, które musiały tylko unieszczęśliwić taką żonę, jak Mariola, i takiego męża, jak Ludwik.

Hrabia słuchał w zupełnem przygnębieniu.

— Gdzież jest on teraz?—spytał.

Baronowa wskazała ręką.

— Tam za kotarą... Słyszał wszystko, co mówiłeś.

Pan Artur wstał, pożegnał niemym ukłonem panią Waleryę i oddalił się powoli krokiem ciężkim, jakby udawał się na śmierć.

XXIV.

W kilka godzin później hrabia znalazł się w swoim pokoju w Czajnikach.

Był zupełnie spokojny i poważny, jak gdyby wizyta w Werbkowicach odpowiadała celowi jego podróży, po którego osiągnięciu nic już do robienia nie miał i żadna troska już go nie trapiła.

Zadzwonił i czekał nadejścia lokaja. Zjawił się kamerdyner.

— Jaśnie pan rozkaże? — zapytał.

— Masz kolacyę?

— Mam, gotowa...

— Podać ją tutaj!

— Słucham.

Jan chciał wyjść. Hrabia go zatrzymał.

— Jest szampan w domu?

— Jest.

— Dobry?

— Pan hrabia sprowadził z Kijowa, wtedy, gdy jeszcze codzień rano pijał...

— A teraz już nie pija?

— Od pierwszego wyjazdu do Werbkowic jakby urwał — odparł sługa.

— A więc — przemknęło w głowie hrabiemu — gdyby Ludwik nie był powrócił do pani Waleryi, byłby się rozpił. Bolska musiała być ofiarą, jak matka, jak babka...

— Hahaha! — zaśpiewał, przystając. — Dwie butelki! — rzekł do lokaja.

Jan chwilę mu się przypatrywał, zanim odparł:

— Słucham!

Chciał odejść, ale pan Artur znowu go zatrzymał.

— Każ rozpalić dobry ogień na kominie.

— Słucham!

— A jakiem drzewem palicie?

I nie czekając odpowiedzi dodał:

— Przeziąbłem... zmarzłem, choć na dworze raczej ciepło. Potrzebuję dobrego ognia. Jakiem drzewem palicie?

— Brzeziną.

— Fi! — oburzył się nienaturalnie hrabia — nie znoszę.. co za drzewo na opał! Ciepła nie daje... Suchej dębiny nie macie?

— Owszem znajdzie się.

— A więc, mój drogi, mój poczciwy Janie, każ mi naładować taką dobrą wiązkę takiej dobrej, naszej, czajnickiej, suchej dębiny. Dziś w nocy nie zasnę, będę palił, a inne drzewo djabła warte, bucna i fiu... jak my starzy... dębina to mi dopiero!

— Słucham! uśmiechnął się Jan, poznając dopiero teraz w tym rozkazie dobrze sobie znanego sybarytę.

— Każę porąbać kilka bali z psiarni, którą właśnie rozbierają.

— Ot! to! to! mój złoty Janie! Kasujecie psy?

— Nie, tylko pan stawia im murowane mieszkanie.

— Tak! tak! co mur, to nie drzewo! No! ruszaj i wracaj! A wracaj z szampanem i dębiną...

Został sam. Chwilę stał w miejscu, nagle ruszył prosto do dużego stołu, na którym znajdowały się świecznik, papier, pióro i atrament. Usiadł i zabrał się do pisania. Pisał powoli i z namysłem prawie nad każdem słowem. Co moment, odkładał pióro, wzdychał, opierał się na poręczy fotelu i myślał, by znów nakreślić kilka wierszy. A tak uwagę jego pochłaniało to zajęcie, iż nie widział ani słyszał, jak służba nakryła mały stolik przy kominku, jak rozniecił ogień, który już buchał i trzaskał i sypał iskrami.

— Wszystko gotowe, — odezwał się Jan.

Pan Artur aż podskoczył na krześle, tak te słowa wyrwały go z głębokiego skupienia. Bibułą szybko zasłonił pisany list, jak gdyby się bał niedyskretnego oka sługi, i rzekł, wstając:

— Dobrze!

Usiadł i zabrał się do jedzenia.. Jan bacznie go obserwował, bo mu się stary jego rówieśnik innym dnia tego, niż kiedykolwiek, wydawał.

Intrygowało go, że pan Artur, jedząc, zamyślał się i przerywał ruch szczęk w chwili, gdy usta miał pełne pokarmu, albo też, chociaż był takim w jedzeniu pedantem, połykał machinalnie najlepsze kąski i zalewał je niezwykłemi haustami wina. Z tego wszystkiego Jan pragnął wymiarkować skutek wizyty pana Artura w Werbkowicach. Ale zachowanie się hrabiego dawało się tłómaczyć rozmaicie i bałamuciło kamardynera, będącego, jak wszyscy jego koledzy, głębokim psychiatrą. Fizyognomia pana Artura tak dużo wyrażała, iż nic nie mówiła.

Skończywszy wieczerzę, pan Artur rzekł:

— Sprzątnij i przyjdź do mnie za godzinę.

— Słucham!

(Dokończenie nastąpi).

Następnie wybrali zebrani jednomyślnie marszałkiem wiecu, byłego posła p. Emila Czarlińskiego z Brąchnówka w Prusach zachodnich dokonano także wyboru obu wicemarszałków i sekretarzy, — poczem Dr. Wicherkiewicz odczytał listy i telegramy, jakie nadeszły. Pierwszy odczytano telegram zawierający błogosławieństwo Ojca świętego. Następnie odczytano telegram X. Kardynała Ledochowskiego i mnóstwo innych depesz i listów.

Marszałek wiecu p. Czarliński podziękował za wybór i podniósł w swej mowie, że pierwszy wiec katolików polskich w Toruniu nie byłby może przyszedł do skutku, gdyby nie impuls dany przez hr. Stanisława Tarnowskiego, który z okazyi złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu wykazał narodowi prawidłowość postępowania pod chorągwią katolicką. Tem samem rzucił on myśl urządzania wieców katolickich i cześć mu się za to należy. Przemowę swą zakończył p. Czarliński okrzykiem na cześć Ojca św. i cesarza, poczem zwrócił się do arcybiskupa z prośbą aby pobłogosławił wiec i jego uczestników.

X. Arcybiskup Stablewski powstał i przemówił w te słowa:

„Gdzie dwóch albo trzech zbierze się w imię moje, tam ja jestem pośród was", powiedział Pan. I myśmy tu zgromadzili się w Imię Pańskie, jak to w tej chwili czcigodny Marszałek w tak, serce moje wzruszający sposób wypowiedział. Zgromadziliśmy się w Imię Pańskie, aby wyznać, czem jesteśmy, w czem jedyną naszego życia i szczęścia pokładamy nadzieję. Za to wyznanie składam Tobie, czcigodny Panie Marszałku, serdeczną podziękę. Przekonany jestem, że temu wyznaniu radośnie odpowiadają w tej chwili miliony serc naszych braci, a w pierwszym rzędzie serca moich wiernych dyecezyan.

Gdy Bóg mi powierzył rząd dusz Waszych, bywają chwile, w których serce trwoży się, ażali wszyscy rozumieją jeszcze i miłują po staremu te hasła, w imię których nasz Mieczysław zatknął krzyż w tej kolebce naszego narodu, w imię których rycerstwo nasze pod Warną, Cecorą i Wiedniem pierś własną nadstawiało na ciosy pohańców. Serce moje nabiera odwagi i otuchy, gdy po tem dzisiejszem zebraniu i wyznaniu czuję, że to hasło jeszcze jest świętem dla synów wielkich ojców. Jakżebym tedy nie miał z radością odpowiedzieć życzeniu Twemu, kochany Marszałku i Waszemu, kochani moi, aby Wam pobłogosławić, aby się zjednoczyć z Wami sercem mojem w tej nadziei, że tu Bóg w pośrodku nas, że On nas prowadzić będzie w jednym zgodnym, zwartym zastępie do walki z tymi, których zadaniem przewrót porządku Bożego i dziejowego. Wszyscy, i z chaty i z pałacu, od warsztatu i od pługa, stoimy tu zjednoczeni, aby bronić krzyża, aby za nim iść, jak za owym ogniem jasnym, który w pustyni w noc ciemną wiódł izraelski lud wybrany. Oby ten ogień narodowi naszemu nie przestał świecić i prowadzić go po drodze, na której ostatecznym końcu jedynie szczęście i spokój on doskonały, dla którego ta ziemia jest tylko przejściem, przygotowaniem, przedsionkiem! Więc błogosławię tym wszystkim, którzy w czemkolwiek przyczynili się do przyjścia do skutku tego wiecu i modlić się będę za Was wszystkich, za Was młodzieńce i męże, za Was niewiasty i dziewice, byście szli drogami ojców i matek Waszych. Będę się modlił jutro za Wami razem z obecnymi tutaj biskupami, byście, ukochani moi, wytrwali wiernie wśród pokus i niebezpieczeństw na przedniej straży obrony tego wszystkiego, co najświętszem i najdroższem dla nas. Benedicat Vos Deus †."

Mowy X. Arcypasterza wysłuchali zebrani powstawszy z miejsc, przyklękli zaś, gdy udzielał swego arcypasterskiego błogosławieństwa.

Przemawiali następnie: O. Brzeziński z Tarnowa i Dr. Włodzimierz Kozłowski, poczem hr. Hektor Kwilecki miał nadzwyczaj zajmujący wykład „o potrzebie wieców katolickich". „Przez zjazd nasz — rzekł hr. Kwilecki — dajemy dowód, że umiemy o czysto katolickich sprawach mówić i myśleć. Często bowiem słyszeliśmy wymówki, że tylko o narodowo-polityczne chodzi nam zebrania, że tylko takie w nas budzą interes: robiono nawet zarzut, że dla spraw czysto katolickich mniej mamy zrozumienia, niż inne narody. Nie wchodzę w to, czy to prawdą lub nie, ale przyznać nam trzeba, że wieców czysto katolickich, na którychby traktowano sprawy ogólne ze stanowiska katolickiego Κατεξοχην nie bywało. Prawda, na naszą chlubę podnieść wypada, że wszystkie nasze sprawy narodowe tak z katolicyzmem złączone nierozerwalnie, iż wszystkie nasze wiece i zebrania do niedawna miały zawsze przy specyalnym swym celu znamię katolickie. Dziś sprawy inaczej stoją, a kontrasta coraz silniej zaznaczać się będą. Widząc, na co się zanosi, tj. widząc, że duchy do zaciętej się walki sposobią, katolicy całego świata szeregują się. Wiece katolickie nazwać możemy manewrami katolickimi, w których mamy się zliczyć, o swej sile się przekonać, dowiedzieć się na kogo rachować możemy, w których wreszcie przez współudział otwarcie manifestujemy, do jakiego wojska, do jakiej chorągwi należymy, lub do której zapisać się chcemy. Nasz wiec ma i musi w sprawach katolickich gnuśnych ożywić, a bojaźliwym dodać odwagi. Nie wątpię, że ożywienie to nastąpi, a spotęgowanem będzie widokiem tak licznego, jedną myślą tchnącego zgromadzenia, podczas którego, choć na krótko, zapomnijmy o naszych prywatnych kłopotach i troskach.

Wobec wielkiej, nas łączącej idei, niechaj duch w górę się wzniesie, dając nam siły do dalszego wypełnienia obowiązków — doprawdy nie łatwych.

Przybyliśmy na wiec, aby wypowiedzieć, że jako katolicy czujemy potrzeby nasze, które dotychczas nie zostały uwzględnione, a do których uwzględnienia mamy prawo.

Potrzeba, aby naszemu duchowieństwu większy był dozwolony wpływ na szkoły, aniżeli to ma w rzeczywistości miejsce — potrzeba koniecznie, aby religia w szkołach w dostępny sposób t. j. w języku ojczystym wykładaną była przez osoby, kwalifikujące się do wykładu.

W czasach, gdy pycha i wznoszenie się jeden nad drugiego królują, potrzeba, aby nasze klasztory zapełniły się zakonnikami reguł rozmaitych, ku budowaniu nas pokorą i świętością życia, ku pomocy dla naszego duchowieństwa. Potrzeba, aby powróciły i klasztory żeńskie, trudniące się wychowaniem panien, bo świeckie pensye mimo najlepszych chęci wystarczyć nie mogą. Przekonany jestem, że wszyscy zebrani jednego pod tym względem jesteśmy zdania; idę nawet dalej i twierdzę, że kto inaczej myśli, to jest kto utrzymuje, że Kościół nie potrzebuje mieć wpływu na szkołą, że bez zakonów obyć się może, ten nie stoi już na stanowisku katolickiem, jako takiem, ten w zarozumiałości swej i pysze chce być mędrszym od mądrości Bożej, uświęcającej to, co Kościół założył i jako zbawienne i w boju z złem jako skuteczne uznał."

Hucznemi oklaskami podziękowali zebrani hr. Kwileckiemu za jego prawdziwie podniosłe przemówienie.

Na tem zakończył się pierwszy dzień obrad wiecu.

MAŁY FELJETON.

Kronika przyrodnicza.

Gdy przed laty kilkunastu rozniosły pisma wieść, że rozlanie oliwy po powierzchni morza sprowadza uspokojenie się fal wzburzonych, wydało się to bajką, której nikt nie wierzył. Obserwacye wszakże żeglarzy, a w szczególności wice-admirała Cloué, wykazały że oliwa istotnie uśmierzający wpływ taki wywiera, a wtedy też przypomniano sobie że spostrzeżenia te zgoła nie są nowe, znajdujemy o nich bowiem wzmianki u pisarzy starożytnych, a rybacy tradycyę tę zawsze przechowywali. Skoro więc powątpiewanie ustąpiło, trzeba było osobliwe to zjawisko wyjaśnić.

— Więc oliwa jest tak mocna, że bałwanom morskim wznosić się nie dozwala?

Przyjaciel mój, który pytanie w taki sposób sformułował, utrafił naprawdę w samo sedno rzeczy, a tylko odpowiedź odwrócić należy. Oliwa bowiem nie jest tak mocna, ale raczej tak słaba, że fal podniesionych utrzymać nie zdoła.

Przywykliśmy cieczom przypisywać zupełnie swobodną ruchliwość cząstek, jakby w nich żadna zgoła nie zachodziła spójność, jakby ich cząstki wcale nie oddziaływały na siebie nawzajem. Pobieżna już jednak uwaga przekonywa, że i cieczom wszelkiej spójności odmawiać nie można. Dosyć zanurzyć pręcik w wodę, by po wyjęciu zawisła na nim kropla; jeżeli zaś wyobrazimy sobie płaszczyznę poziomą, przecinającą kroplę, to wszystkie cząstki położone poniżej tej płaszczyzny, należy uważać, jako unoszone przez cząstki wyżej położone. Istnieje więc i w cieczach spójność, zależąca, jak się mówić zwykło, od wzajemnego przyciągania cząstek.

We wnętrzu wszakże masy cieczy cząsteczka każda ulega jednakowym ze wszech stron wpływom; otoczona zewsząd cząsteczkami sąsiedniemi, doznaje od góry i od dołu, od strony prawej i lewej, jednakich przyciągań, które się nawzajem znoszą i ujawnić nie mogą. Inaczej wszakże dzieje się na swobodnej powierzchni cieczy; cząsteczki, zajmujące wierzchnią tę warstwę, nie mając nad sobą cząsteczek, któreby je ku górze pociągały, ulegają bez przeszkody działaniu cząsteczek głębiej się znajdujących; doznają więc pociągania ku dołowi i są w stanie pewnego wytężenia, jakby cienka błona sprężysta, którą rozciągamy i której spójność temu wysiłkowi się opiera. Swobodna tedy, wierzchnia warstwa cieczy, poddana jest jakby ściągającej ją sile, czyli pewnemu napięciu, wskutek czego dąży ona do zajęcia jak najmniejszej możliwej powierzchni. Jest to jakby powłoka cienka, albo też błonka wyprężona, która ciecz uciska. O jej oporności, czy też wytrzymałości, świadczy to, że na powierzchni wody złożyć można igłę, stalówkę, a nawet pierścień mosiężny lub platynowy, które wbrew pociągającej je ku dołowi sile ciężkości nie toną, nie mogąc ciężarem swym tej wyprężonej warstwy wierzchniej przebić. Kropla wody składa się z niezmiernej ilości cząstek, które się wszakże nie rozpadają i utrzymują w związku pod naciskiem błonki, która je ze wszech stron otacza. Ale jak drobne krople, tak samo też i potężne fale morskie ujęte są podobnąż błoną, która jest wynikiem napięcia, w jakiem wierzchnie cząstki wody pozostają. Działanie to w każdej zachodzi cieczy, ale w różnych cieczach niejednakowo jest silne; w oliwie dwa razy przeszło słabsze, aniżeli w wodzie; cienka więc warstwa oliwy, po powierzchni wzburzonego morza rozlana, osłabia napięcie jego powierzchni i powstrzymuje piętrzenie się bałwanów.

Ogólnikowe to wszakże tłómaczenie nie zdaje jeszcze dostatecznej sprawy ze zjawiska, które niewątpliwie jest bardzo zawiłe. Wzburzone fale morskie nie kołyszą się tak łagodnie, jak fale, które rzuceniem kamienia na spokojnej powierzchni jeziora wzbudzamy. W tym ostatnim razie potrącone cząstki wody drgają, pozostając na swych miejscach; ruch tylko udziela się cząstkom sąsiednim i coraz się dalej rozprzestrzenia. Wiatr wszakże niweczy ten spokój, miotane przezeń różne części powierzchni wody przesuwają się z niejednaką szybkością, warstwy jedne wdzierają się nad inne, pokrywają je i powyżej nich się rozlewają.

Ale w takim razie warstwa zakryta traci swą powierzchnię wolną; drzemiąca w niej dotąd potęga, w napięciu powierzchniowem utajona, nagle się oswobadza, a uwolniona ta energia powiększa szybkość przelewających się fal wodnych. Działanie to powtarza się i dalej, fale prześlizgują się jedne na drugie i tworzy się bałwan, złożony z warstw różnej szybkości, aż wreszcie przelewa się gwałtownie i opada, szerząc zagładę.

Niebezpieczeństwo więc fal spiętrzonych polega na rozpościeraniu się warstw jednych powierzchni morza po drugich, a wszelka przyczyna, któraby to powstrzymać zdołała, zatamowałaby też i groźne wzmaganie się siły żywej wciąż wzrastających bałwanów. Taką zaś właśnie przyczynę stanowi warstwa oliwy, rozlewająca się na znacznej rozległości po morzu; dla swej lekkości wydziera się zawsze na powierzchnię i niedopuszcza wyślizgiwania się w górę nowych warstw wody.

Monopol jednak uspokajania fal wzburzonych oliwa utraciła już obecnie, poznano bowiem, że tak samo, choć w słabszej nieco mierze, działa i woda mydlana. Zaskoczeni mianowicie burzą w pośrodku Atlantyku, oficerowie parowca „Scandia", w braku oliwy, wpadli na pomysł rozpuszczenia znacznej ilości mydła w kilkuset litrach wody, a skoro roztwór ten z pokładu rozprowadzili po powierzchni wody przed statkiem, mógł on żeglować swobodnie. Ze spostrzeżenia tego skorzystał już komendant okrętu „Senegal", i podczas gwałtownego wichru na morzu Adryatyckiem dnia 19 lutego wyrzucił na wzburzone morze strumień 70 litrów wody, w których rozpuszczono trzy kilogramy mydła. Dokoła okrętu utworzyła się strefa, mająca około dziesięciu metrów szerokości, w której się fale rozbijały, nie dochodząc do okrętu.

Woda więc mydlana zastąpić może dobrze oliwę, posiada bowiem również mniejsze, aniżeli woda czysta, napięcie powierzchniowe, a ztąd utrudnia rozwój fal wielkich; sposób zaś ten może być dogodny z tego względu, że mydło jest tańsze od oliwy i łatwiej posiadać można na okrętach dostateczny jego zasób.

Bardziej wszakże jeszcze, aniżeli samo uśmierzanie morza rozbukanego, uderza nas w zdumiewającem tem zjawisku drobna ilość oliwy lub wody mydlanej, która do celu tego wystarcza. Kilkadziesiąt litrów cieczy rozpościera się nagle po rozległej przestrzeni morza, pokrywając ją wszędzie błoną jednostajną, ciągłą, nigdzie nie przerwaną. Spójność cząstek utrzymuje ją w związku. Jeśli zaś ocenić możemy obszar przez ciekłą tę błonę zajęty, możemy już ztąd obliczyć jej grubość, albo raczej niewypowiedzianą jej cienkość. Kwarta oliwy, gdy się rozlewa na przestrzeni jednego metra kwadratowego, redukuje się do warstwy o grubości jednego milimetra; na powierzchni wszakże morza pokrywa obszar całych dziesiątków tysięcy metrów kwadratowych, tworzy więc błonkę o grubości jakiej stu tysięcznej części milimetra. P. Oberbeck z Greiswaldu z doświadczeń swych ocenia, że jeden litr oleju wystarcza do uspokojenia morza na przestrzeni 10.000 metrów kwadratowych; grubość warstwy oliwy wynosi wtedy nie więcej nad dwie milionowe części milimetra. Dziesiątki tysięcy zaledwie błon takich złożyłyby się na grubość kartki papieru.

Pytanie jaką być może najmniejsza grubość błonki ciekłej, przedstawia znaczną też doniosłość ze względów teoretycznych, skoro bowiem błonka taka jest zbiorowiskiem naj drobniejszych cząsteczek materyi, możemy stąd przeto wysnuwać wnioski o wymiarach tych cząstek, o „wielkości atomów". Na podstawie więc zjawisk, o których tu mówimy, a które w sposób najprostszy ukazują się nam w zwykłych bańkach mydlanych, odsłania się nam tajemniczy świat atomów, tak dalece niedostępny dla oka naszego, choćby uzbrojonego najpotężniejszym mikroskopem. Bańki mydlane, które są tak ponętną dla dziecka zabawką, przedstawiają też pole rozległe dla badań fizyków, o czem zresztą więcej dowiedzieć się można z niewielkiej książki Boysa, przełożonej właśnie na język polski przez p. W. Biernackiego.

Nietylko wszakże zmierzono grubość błonki która jest siedliskiem napięcia powierzchniowego cieczy, ale oceniono też dokładnie potęgę, która się w niej kryje. W pudełku wielkości zaledwie centymetra sześciennego możnaby dogodnie pomieścić pół miliona najcieńszych takich błonek, a zjednoczone ich napięcie złożyłoby się w siłę dostateczną do dźwignięcia 75 kilogramów, stupięćdziesięciu zatem funtów.

Gdybyśmy więc wydobyć i do służby naszej zmusić mogli olbrzymi zasób energii, którą powierzchnia oceanu kryje, wynagrodziłoby to sowicie marnotrawstwo węgla, którym pokolenia obecne tak nieopatrznie szafują, że za lat kilkaset już zapewne ostatnie jego zasoby z wnętrza ziemi wydobędą.

Tymczasem zaś, gdy tak wielkiego nie ma wynalazku, zadawalniać się trzeba drobniejszemi. Przed kilku dniami podaliśmy wiadomość o nowej substancyi, nazwanej *tectorium*, która ma być dobrym surogatem szkła; możemy tu przytoczyć nieco bliższe o niej szczegóły. Tectorium wyrabia się mianowicie z żelatyny przeświecającej i osadzonej w płótnie metalicznem, czyli w gęstej siatce drucianej; jest to materyał wytrzymały i giętki, w wodzie nierozpuszczalny i na mróz nieczuły. Pokryty cienką warstwą farby olejnej, przyjmuje zupełnie pozór szkła malowanego, daje się łatwo krajać nożyczkami i wycinać w żądane formy. Na ramach drewnianych osadza się przez nabicie drobnymi ćwieczkami. Wyrabia się w płatkach długości 7 metrów, przy szerokości 1$^1/_2$ metra. Metr kwadratowy waży 2·3 grama i kosztuje dziesięć franków; dla jego wszakże wytrzymałości i długotrwałości niektórzy przemysłowcy uznali tectorium za materyał tańszy od szkła i zastósowali materyał ten do dachów cieplarń, na okna fabryk, składów i werand. Nadmienić też wypada jeszcze, że niektóre huty szklane zaczęły i zwykłe szkło wzmacniać podobnąż siatką metaliczną, zatopioną w masę szkła, co mu większą zapewnia wytrzymałość.

Arcyksiążę na wystawie.

W pawilonie hr. Andrzeja Potockiego zabawił wczoraj Arcyksiążę dość długą chwilę, powitany przez hr. Andrzejowstwo Potockich i oprowadzony przez wystawcę, który pokazywał dostojnemu gościowi okazy z dóbr swoich, rudy cynkowe, węgiel, cegły, cukier, rośliny, wreszcie trofea myśliwskie, wśród których króluje wypchany olbrzymi niedźwiedź.

Z kolei przeszedł Arcyksiążę do pawilonu krajowej Rady szkolnej, wzniesionego jak wiadomo kosztem Namiestnika hr. Kazimierza Badeniego. Tu rolę przewodnika przyjął wiceprezydent Rady szkolnej dr. Michał Bobrzyński, a asystował Arcyksięciu w oglądaniu okazów minister oświaty dr. Madeyski.

Zaczęto od szkół ludowych, przyczem zajęły bardzo dostojnego gościa: zbiór dawnych książek szkolnych, model szkoły jednoklasowej, model sali gimnastycznej, fotografie z parku Jordana, gabinety naukowe dla szkół średnich i mapą szkół ludowych. Z pomiędzy okazów dawnych środków pedagogicznych pokazywano Arcyksięciu t. zw. „czarne" i „złote księgi", do których zapisywano niedbałych lub pilnych uczniów. W „złotej księdze" szkoły elementarnej nowosądeckiej z r. 1827 odnalazł Arcyksiążę imię Juliana Dunajewskiego, późniejszego ministra skarbu. Dalej zwróciły jeszcze uwagę Arcyksięcia wystawy rysunków uczniów szkół realnych we Lwowie, Krakowie i Stanisławowie, mapy, rysowane przez nauczycieli szkół ludowych, wystawa seminaryów i wystawa „nauki zręczności" w szkołach w Sokalu i Krakowie.

Po szkolnictwie krajowem przyszła kolej na pawilon hr. Romana Potockiego, który przy pomocy p. Szczerbickiego, swego pełnomocnika sam oprowadzał Arcyksięcia, pokazując mu wytwory z dóbr swoich, jak chmiel, cukier, wełnę, węgiel z Glińska i Potylicz, mapy dóbr i lasów. Arcyksiążę napił się nawet łańcuckiej wódki.

Kiedy dostojny gość wyszedł z pawilonu hr. Potockiego było już pół do drugiej, a ponieważ Arcyksiążę okazał chęć dalszego zwiedzania wystawy, prezes Komitetu ks. Adam Sapieha zaprosił go na śniadanie do restauracyi p. Baczyńskiego. W śniadaniu tem wzięło udział 18 osób, a skończyło się ono około kwadrans na czwartą, poczem Arcyksiążę zwiedził francuską restauracyę i udał się do pawilonu uniwersytetów.

Rektorowie obu uniwersytetów dr. Zoll i dr. Ćwikliński służyli mu za przewodników. Długo zatrzymał się Arcyksiążę koło wystawy bakteryologicznej dr. Bujwida, który objaśniał mu dokładnie w jaki sposób stosuje z powodzeniem metodę Pasteura leczenia wścieklizny i przedstawił nawet maleńką dziewczynkę, pokąsaną przez psa wściekłego, a obecnie zupełnie już zdrową dzięki owej metodzie leczenia. Potem oglądał Arcyksiążę narzędzia chirurgiczne, przedstawione przez prof. Rydygiera, atlas ginekologiczny prof. Marsa, preparaty prof. Teichmana, objaśniane przez prof. Kadyiego. Profesor Szajnocha przedstawił okazy odnoszące się do studyum rolniczego na uniw. krakowskim. Nareszcie przedłożył dr. Zoll statystykę słuchaczy uniwersytetu krakowskiego, których liczba od r. 1861 wzrosła z 400 na 1300. Arcyksiążę, który był przez cały czas w wybornym humorze, zapytał, czy słuchających istotnie wykładów, a zaraz dodał, że pod tym względem zapewne tu są lepsze stosunki, niż na uniwersytetach niemieckich. Dr. Zoll potwierdził, dodając, że zwłaszcza na wydziale rolniczym uczniowie odznaczają się wielką pilnością.

Potem przyszła kolej na uniwersytet lwowski. Tu więc okazy odnoszące się do nauki chemii przedstawiał dr. Radziszewski, zbiory prof. Dybowskiego dr. Nussbaum, okazy botaniczne dr. Ciesielski, mineralogiczne dr. Siemiradzki, anatomiczne dr. Kadyi, bakteryologiczne prof. Safman a rektor politechniki Dziwiński objaśnił dział odnoszący się do tej szkoły. Nakoniec zatrzymał się arcyksiążę koło zbiorów prof. Wołoszczaka który zestawił około 500 gatunków przekrojów drzewnych.

Pomiędzy zwiedzaniem pawilonu uniwersyteckiego a pawilon Wydziału krajowego zajmował się Arcyksiążę wystawą odnoszącą się do nauki w zakładzie ciemnych i głuchoniemych. Pierwszą objaśniał ks. Jerzy Czartoryski, drugą ks. kanonik Mazurak, który nawet odbył przed arcyksięciem mały egzamin z kilku wychowankami zagładu głuchoniemych.

Wczorajsze zwiedzanie wystawy zakończył Arcyksiążę w pawilonie Wydziału Krajowego mieszczącym wystawę skół zawodowych. Tu go przyjął marszałek ks. Eustachy Sanguszko, i przedstawił Arcyksięciu członków komisyi przemysłowej.

Dostojnemu gościowi bardzo podobały się wyroby snycerskie i koronkarskie szkoły w Zakopanem, przedstawione przez pp. Neuzilów, potem zatrzymał się długo koło kilimków, oglądał wystawy niemal wszystkich szkół, przy oddziale ceramiki z zajęciem słuchał objaśnień prof. Zacharjewicza, a o godzinie 5$^1/_2$ opuścił wystawę, udając się z wizytą do ks. Romanowej Sanguszkowej.

O godzinie 7 odbył się obiad dworski, a wieczorem przyjęcie u ks. Adama Sapiehy, na którem zebrało się około 500 osób. U progu przyjmowali gości księstwo Adamostwo wraz z synami ks. Władysławem i Pawłem. Arcyksiążę Karol Ludwik przybył około 3 kwadransów na 10 godzinę i zabawił do 11. Park przed pałacem pięknie oświetlono, a przygrywała w nim orkiestra 30 pp. pod batutą p. Rolla. Był zamiar wypicia herbaty w ogrodzie, ale niestoty deszcz przeszkodził temu.

* * *

Dziś zwiedzanie wystawy rozpoczął Arcyksiążę o godzinie 10-tej od pawilonu piśmiennictwa. Oprowadzali go tu prof. Smolka, rektor Zoll i dr. Kubala.

Z wielkiem zajęciem przypatrywał się Arcyksiążę mapom, przedstawiającym graficznie rozwój literatury polskiej w ostatnim stuleciu i statystykę ruchu piśmienniczego, dalej mapom przedstawiającym graficznie prace Akademii Umiejętności na polu archeologii, sztuki, etnologii, fizyografii i t. d. Mapy te objaśniał jeneralny sekretarz krakowskiej Akademii prof. Smolka. Długo się zatrzymał Arcyksiążę przy

---

95)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Nieprzyjaźń kobiet nie stała się jednak jawną dlatego, że Hanna znienawidzona przez męża żyła w samotności, unikając spotkania ze światem, w którym wszystkie prawie możniejsze niewiasty sprawiały jej te same upokorzenia. Ari-Hari, zostawszy królową, wyrosła ponad zwyczajne niewieście zawiści i przyjęła zrazu wcale łaskawie żonę Amenemhy, chroniła ją nawet swoją powagą od przycinków i sprawiła, że pobyt w stolicy, na który się naraziła przez miłość dla córki, stał się dla niej znośnym. Ale Ari-Hari układała sobie od dawna w skrytości ducha małżeństwo Setiego z Kerkomamą i wiedziała, że ta myśl uśmiechała się królewnej. Ona to projekt małżeństwa poddała Ramzesowi i ona dostrzegła to, na co król zajęty sprawami publicznemi nie mógł zwrócić uwagi, a mianowicie to, że Hesz-Aker stanęła na przeszkodzie jej własnym zamiarom. Cała dawna jej niechęć do Hanny obudziła się natychmiast i zamieniła się w czynną nienawiść dla kobiety z którą musiała walczyć, chociaż była królową. Zwyciężyła łatwo, bo zwyciężyła, skoro tylko namówiła Ramzesa do przyśpieszenia kroku, z którym się ociągał dotąd. Ale teraz nie dość jej było na zwycięstwie, chciała się jeszcze mścić nad pokonaną przeciwniczką, chciała się pastwić nad nią i nad jej córką. Widząc tedy, że obie niewiasty nie zbliżały się do niej, kazała je przywołać.

Skoro stanęły posłusznie przed nią, rzekła:

— Cóż to? Czy się nie cieszycie tem, czem się cały Egipt cieszy, że nie należycie do ciżby, która mnie otacza, składając mi powinszowania z powodu szczęścia mojej córki?

Hanna zapanowała nad sobą, tak jak zwykła była zawsze nad sobą panować i odpowiedziała królowej:

— Nie śmiałam się zbliżać, bo widziałam, że niewiasty godniejsze otaczały małżonkę Amuna. Ale skoro Wasza królewska Mość raczyłaś mnie przywołać do siebie, przyszłam aby dorzucić moje powinszowanie do tylu innych.

— Twarz twoja, — odrzekła królowa — zaprzecza twoim słowom, a jam zwykła chętniej wierzyć twarzy jak mowie. Wydajesz mi się smutną, wydajesz mi się nieradą z tego, co się stało i takie same uczucie maluje się na twarzy twojej milczącej córki, która nie nauczyła się jeszcze słów układanych a nieszczerych. Być może, że nie potrafisz jej nigdy nauczyć chytrego fałszu Hebrajczyków, bo w jej żyłach jest połowa krwi egipskiej, a Egipcyanie nie umieją zmyślać. Ale gdybyś ty sama była prawdomowną Egipcyanką, zrobiłabyś jedno z dwojga. Albobyś milczała, albo wyznałabyś głośno, że to, co się stało, krzyżuje jakieś twoje własne zamiary. Gdybyś to zrobiła, byłabym spokojną o ciebie, bo myślałabym, że kobieta szczera zrozumie rychło, że dobro ojczyzny góruje nad osobistem szczęściem i pogodziłaby się z tem, że najdzielniejszy młodzieniec w Egipcie będzie mężem królewnej, prawicą Ramzesa i jego następcą, chociaż marzyła o tem w macierzyńskiem zaślepieniu, że ten skarb będzie może własnością jej ukochanej jedynaczki. Ale obłuda ukrywa myśli gorsze. Losy Egiptu są obojętne dla córki Efraima, który był Egiptu wrogiem i hebrajska niewiasta może być łatwo tak zaślepioną, że jej się wyda, iż leciuchne szczęście jej córki waży więcej od losów świata. Od tego zaślepienia nie daleko do czynów występnych a zgubnych. Krew Efraima i żółć hebrajska gotowe się obudzić w tobie. Ale przestrzegam cię, abyś wypadkiem nie spiskowała przeciw nam. Teraz nie Amenhotep IV panuje w Egipcie, a Ramzes jest to człowiek mądry, nie obróci się przeciw ojczyźnie i nie poda ręki wyrzutkom rodzaju ludzkiego, jak to robili Amenhotep i jego poplecznicy, gotowi nawet poślubić córy nieczystego plemienia. Ramzes ma oko czujne i wzrok przenikliwy; odkryje knowania, choćby jak były ukrywane i ukarze je nielitościwie. Przestrzegam cię o tem, Hanno, dla dobra twojego i dla dobra twojej rodziny, bo choć ty jesteś nam wrogiem, królowa nie chce zguby żadnego ze swoich poddanych. A nie zapomnij, że prawo Egiptu stanowi karę nietylko na zdrajcę, ale na wszystkich, którzy wiedzą o zdradzie i jej nie wyjawią.

Skończywszy swoją zjadliwą przemowę, pożegnała Ari-Hari Hannę i Hesz-Akerę dumnem skinieniem głowy. Każde słowo wyostrzyła tak, aby zadało jak najdotkliwszą ranę, a mówiąc w obecności dworzan, sponiewierała z umysłu Hannę tak, jak tego nikt przebaczyć nie może, tak jak gdyby ją chciała pchnąć do czynów zgubnych, a przecie sama nie wiedziała, do jakiego stopnia była okrutną, bo ani się tego nie domyślała, że Hanna wiedziała na prawdę o zgubnym spisku, uknutym przez Hebrajczyków i że tę wiedzę ukrywała.

Trzeba było zostać do końca na dworskiej uroczystości, trzeba się było zmuszać do wyrazu twarzy obojętnego, jeźli nie radośnego, trzeba było się uśmiechać od czasu do czasu, patrzeć na świąteczny nastrój i światową okazałość, rzeczy tak niewysłowienie przykre dla ludzi bolejących i upokorzonych, trzeba było słuchać nieustannych dwuznaczników, urągających z tej boleści i z tego upokorzenia i trzeba było udawać, że się ich nie rozumie i odpowiadać na nie jako na rzeczy obojętne i nawet grzeczne. Rodzina Amenemhy musiała to wszystko przetrwać i przetrwała. Amenemha sam nie otrząsł się z pewnego smutku, ale ten smutek był podobnym do zwyczajnej powagi starości, Hanna potrafiła się zachować tak, jak gdyby była najzwyczajniejszym uczestnikiem zabawy, a Hesz-Aker zrazu spiorunowana, ożyła potem pod bodźcem oburzenia, zagłuszającego wszystkie inne uczucia i była w gorączce swojej na pozór szalenie wesoła, do tego stopnia, że zmyliła wielu i że niejeden szeptał drugiemu na ucho:

— To musi być nieprawdą, żeby się Seti był zalecał do córki Amenemhy, bo nie mogłaby być tak swobodną, jak dziś.

Ale urok młodości zniszczał tego dnia niepowrotnie dla Hesz-Akery.

(Ciąg dalszy nastąpi).

szafie, zawierającej wydawnictwa Akademii. Wisiały tam dwa portrety dostojnego gościa, jeden zdjęty w roku 1855, a drugi w roku zeszłym. Z uśmiechem zauważył Arcyksiążę, iż ten dawny portret wielce się różni od najnowszego.

Rozmawiał przytem z p. Augustem Schumanem, który wystawił ów portret z r. 1855 Otrzymał go wówczas w darze od arcyksięcia za dobre strzały. Zwiedzał dalej wystawę księgarni Gubrynowicza i zapytał go, kiedy firma założona, fotografie Maryi, gdzie pochwalił wielką fotografię min. Madeyskiego i podniósł jej wielkie podobieństwo, pochwalił za piękny druk dzieła wystawione przez drukarnię *Czasu* i z uznaniem wyraził się o wyrobach introligatora Getritza.

Wyszedłszy na pierwsze piętro pawilonu długo przypatrywał się fotografiom wystawionym przez amatora-fotografa hr. B. Tyszkiewicza i wielkie im oddawał pochwały. Bardzo mu się podobały także fotografie Trzemeskiego, Popiela (Tableaux lwowskiej Rady miejskiej), Mazura, o których powiedział, że są bardzo piękne i powiększenia fotograficzne Jurkiewicza z Kołomyi. P. Trzemeskiemu polecił, aby mu przysłał zdjęcia, których dokonał podczas uroczystości otwarcia wystawy.

Z pawilonu piśmiennictwa przeszedł do panoramy, gdzie go u wstępu powitał dyrektor dr. Zgórski i artyści-malarze Kossak, Styka i Popiel. Panorama na Arcyksięciu olbrzymie zrobiła wrażenie, wyrażał się o niej z prawdziwym podziwem, kilkakrotnie powtórzył, że dzieło to jest: „eine enorme Leistung“ i dodał, iż panorama racławicka jest najpiękniejszą ze wszystkich podobnych okrągłych panoram, jakie w swem życiu widział. Również jak najwyższe pochwały oddawał panoramie Arcyksiąże Leopold Salwator i świta obu dostojnych gości. Obraz objaśniali Arcyksięciu na przemiany pp. Kossak i Styka.

Arcyksiąże pytał się, czy bitwa jest historycznie i wiernie przedstawioną i zdziwił się dowiedziawszy się od p. Kossaka, iż dokładny plan bitwy znaleźli artyści malarze w archiwach austryackiego ministeryum wojny. Dalej wyraził Arcyksiąże uznanie swe p. Popielowi za prześliczny krajobraz i zaznaczył iż wszedłszy do panoramy myślał, że waląca się na obrazie chata jest prawdziwą, tak wybornie jest malowaną.

Gdy p. Kossak wspomniał arcyksięciu, iż panoramę tę zwiedzał konsul rosyjski p. Pustoszkin i powiedział, iż w obrazie tym nie ma nic, obrażającego uczucia Rosyan i że mógłby on być wystawiony w Petersburgu — Arcyksiążę odparł na to: „Ich bin derselben Meinung“ (jestem tego samego zdania). (Sąd więc Arcyksięcia i konsula, niech będzie najlepszą odpowiedzią na wszelkie zarzuty *Warszawskiego Dniewnika*, moskalofilskiego wychodzącego we Lwowie *Hałyczanyna* i innych pism rosyjskich, które nie mogąc znaleźć żadnych przyczyn, dla których mogliby wylać swą żółć na wystawę, rzuciły się na panoramę, twierdząc, iż obraz ten to demonstracya antirosyjska. Przyp. Red.)

Dalej zapytał Arcyksiąże, ile płótna wyszło na ten obraz, a gdy się dowiedział, że przeszło 1800 kwadratowych metrów, wyraził swe zdziwienie, a zarazem uznanie malarzom, iż podjęli się i do skutku doprowadzili tak śliczne i wspaniałe dzieło.

Kilka razy Arcyksiąże przeszedł w okół galeryi i oglądał obraz, a w rozmowie z ks. Sapiehą podniósł, iż obraz ten wcale nie jest szowinistycznym, lecz ściśle historycznym. W panoramie bawił Arcyksiążę przeszło pół godziny.

Ztamtąd pojechał powozem do pawilonu ministeryum rolnictwa i przyglądał się wystawionym tam okazom. Objaśnienia dawali mu minister rolnictwa Falkenhayn, dyrektorowie Hirsch i Rosenberg. Arcyksiąże przypatrywał się mapie przeglądowej dóbr państwowych i dóbr funduszu religijnego w Galicyi, mapie leśnej Galicyi, zestawionej przez p. Scheuringa i wypytywał się czy jest zwierzyna w lasach rządowych i jak wypadają polowania.

Następnie przeszedł do pawilonu browaru Kiselki. Tu podano dostojnemu gościowi szklankę piwa, którego skosztował i powiedział że jest znakomitem. Rozmawiał z dr. Strojnowskim i przypomniał sobie, iż ojciec dr. Strojnowskiego prezydent sądu apelacyjnego, był nauczycielem Arcyksięcia, uczył go prawa. Z okien tego pawilonu przypatrywał się Arcyksiąże zabudowaniom górskim. Wychodząc z pawilonu podał rękę drowi Strojnowkiemu i rzekł, iż bardzo miło mu było poznać go.

Przeszedł następnie do pawilonu ministeryum skarbu. Oprowadzał go p. wiceprezydent Korytowski. Tu przypatrywał się wielkiej bryle soli z Wieliczki ważącej 20 centnarów, mapom, przekrojom kopalń. Bardzo mu się podobała piramida solna, z grotą z kryształów wewnątrz dekorowana narzędziami górniczemi i hutniczemi. Prześliczną tę piramidę z grotą urządził adjunkt salinarny p. Erazm Barącz, któremu arcyksiąże na tę piramidę i za plastyczne i graficzne przedstawienie kopalń wielickich wyraził swe uznanie.

Następnie zwiedził Arcyksiąże starożytności wielickie, poczem przeszedł do drugiego oddziału pawilonu, gdzie były wystawione okazy tytoniu, a kilkanaście dziewcząt robiło papierosy i cygara. Objaśnienia w tym oddziale dawali pp. wiceprezydent Korytowski i dyrektor fabryki w Winnikach Jerzyk.

Następnie zwiedził Arcyksiąże pawilon br. Poppera i o godzinie w pół do 1-szej żegnany przez komitet wystawowy, odjechał do miasta.

O godzinie 1 odbędzie się w restauracyi Zogeimana na placu wystawy śniadanie dla oficerów pułku, którego arcyksiąże jest właścicielem. W śniadaniu tem weźmie udział Arcyksiąże.

Dalsze zwiedzanie wystawy rozpocznie Arcyksiąże dziś o godzinie 3 po południu. Jutro ma zwiedzić muzeum Wł. hr. Dzieduszyckiego, a po obiedzie o 3 odjedzie do Wiednia.

* * *

Prezes wystawy ks. Sapieha otrzymał od p. Józefa Kościelskiego następujący telegram z Poznania: „Nie mogąc, wskutek obradującego tu wiecu katolickiego przybyć na wystawę, przesyłam na ręce księcia, życzenia jak najlepszego powodzenia temu wielkiemu przedsięwzięciu. *Kościelski*“.

* * *

Wystawę do dziś godziny 12 w południe zwiedziło 11.452 osób.

* * *

Dodatkowo donosimy, że arcyksiąże Karol Ludwik, zwiedzając hallę przemysłową, zatrzymał się przy fortepianie wyrobu pp. Sidorowicza i Siwińskiego ze Stanisławowa i pochwalił go.

KRONIKA.

Lwów 7 czerwca.

† Marcelina Czartoryska. Do kroniki żałobnej, zapisać przyszło imię jednej z najniepospolitszych kobiet polskich bieżącego stólecia. Oto z Krakowa doniosła wczoraj depesza wiadomość o zgonie ks. Marceliny z Radziwiłłów Czartoryskiej, która rozumem, wykształceniem i talentami przez długie lata jaśniała w kraju i za granicą, a łącząc z niemi siłę charakteru i wielką miłość bliźniego i Ojczyzny, wysokie stanowisko zajmowała w społeczeństwie naszem.

Urodzoną w roku 1818, wcześnie odumarła matka, Worcellówna z domu. Młoda dziedziczka olbrzymiej fortuny chowała się przy ojcu ks. Michale Radziwille (z linii Berdyczowskiej), pułkowniku wojsk polskich, znanym z wielkiej energii i żelaznej woli. Do 15 roku życia chorowita i wątła, tylko troskliwej opiece i kuracyom zawdzięczała uratowanie życia i wzmocnienie zdrowia, które przez długie następne lata jej służyło. Zaślubiwszy ks. Aleksandra Czartoryskiego, zamieszkała z mężem przy teściu, starym ks. Konstantym Czartoryskim, który w Wiedniu na Wollzeile i w przedmiejskim pałacu Weinhaus, wielki dom prowadził, gromadząc co tylko stolica Austryi miała najświetniejszego pod względem towarzyskim i artystycznym.

W roku 1848 nastąpił z politycznych powodów przymusowy wyjazd księstwa Aleksandrów z granic Austryi. Skierowali się do Paryża, gdzie znów młoda księżna weszła w wir świata artystycznego, wiedziona zamiłowaniem i wyjątkową zdolnością do gry fortepianowej. Najpierwsze paryzkie powagi muzyczne: Franchomme, Allard i t. d. bywały u niej codziennymi gośćmi. Duchowe i artystyczne powinowactwo zbliżyło ją do Chopina, którego stała się jedną z najznakomitszych uczennic, i którego w ostatniej długotrwałej chorobie pielęgnowała aż do śmierci. W roku 1853 będąc w Nizzy, spotkała młodocianego Horacego Delaroche, syna wielkiego malarza. Żywo zajęła się chorowitym i przedwcześnie osierociałym chłopcem, stając się mu drugą matką. To był początek polskich sympatyi i polskich stosunków Delaroche'a, tem się także tłómaczy zbliżenie się księżnej do francuskiego świata sztuki, do malarzy i rzeźbiarzy najsławniejszych. Talent muzyczny wykształciła niezmiernie wysoko. Dość powiedzieć, że jej koncerty w Paryżu były *un évènement du jour*, formalnie dobijano się na nie. Dawała je na cele dobroczynne, głównie dla wsparcia emigracyi polskiej. W r. 1857 zaczęły wychodzić *Wiadomości polskie*. Księżna Marcelina była jedną z osób, które najusilniejsze dały im poparcie i zachętę, co znów zbliżyło ją do redaktorów: Kalinki i Klaczki. Wydawnictwa patryotyczne i sprawy emigracyi naszej wogóle w księżnie gorliwego znajdowały mecenasa.

W r. 1858 księstwo Aleksandrowie z dorastającym synem sprowadzili się na zimę do Krakowa, ale duch pewnej, zresztą często towarzyskiej opozycyi przeciw ówczesnym kołom rządowym, wywołał w roku 1860 nakaz opuszczenia Krakowa. Nastąpił powrót do Paryża. Po śmierci sędziwego księcia Adama, patryarchy całego rodu, księstwo Aleksandrowie opuścili stolicę Francyi i przepędziwszy lat parę w Rzymie, sprowadzili się w r. 1867 na jednoroczny pobyt do Lwowa aby potem już stale osiąść w ulubionym Krakowie. Tu niebawem nabyli uroczą letnią siedzibę na Woli Justowskiej z pałacem pamiętającym humanistów Zygmuntowskiej epoki.

Odtąd życie spędzała księżna Marcelina między Krakowem a Wolą, tworząc wraz ze synem i młodą a pełną wdzięku synową świetne centrum życia towarzyskiego, ożywiając Kraków i jednocząc różne jego koła społeczne i koteryjki. Pamiętnym zostanie jej salon naprzód na ul. św. Jana, a potem we własnym pałacu przy ulicy Sławkowskiej, salon, w którym jeden dzień w tygodniu poświęcony był ulubionym zebraniom artystycznym, — inny rautom światowym, a dla młodzieży nie brakło i zabaw tańcujących, w poście zaś przedstawień teatralnych.

Prywatne życie księżny było zdumiewająco skromne, dla siebie nic prawie nie potrzebowała, a ubierała się w suknie nieraz prostsze od sukien osób, które jej wsparcie zawdzięczały. Śmierć męża i wnuczki odsunęły księżnę od życia światowego. Ograniczywszy swoje wymagania do minimum, wszystkie swe dochody, siły i zdolności poświęciła na usługi bliźnich i cierpiących. Jej dziełem był dom Miłosierdzia na Kazimierzu, a ulubionem zajęciem opieka nad rozmaitemi zakładami dobroczynnemi. Wśród wyczerpującej pracy zachowała do ostatka młodość sił i umysłu. Oddana Bogu i bliźnim nie przestawała się interesować wybitnymi objawami sztuki, życia literackiego i społecznego. Wyjątkowe, rzec można, zespolenie w jednej osobie tak rzadkich zdolności, europejskiej kultury, wychowania prawdziwie zachodniego z sercem polskiem i polską szlachetnością popędów, z przenikliwością zdumiewającą, łatwością w obejściu, pozycyą wielkopańską, a równocześnie chrześcijańską pokorą, uczyniły z niej istotnie postać nie codzienną. Cześć jej pamięci.

Tramwaj elektryczny. Na to przedsiębiorstwo, które z takim hałasem się reklamowało i zapowiadało w swojem imieniu niesłychane wygody publiczności, dochodzą nas coraz liczniejsze skargi. Przedewszystkiem ruch odbywa się nieregularnie, jeździ bowiem zaledwo sześć wozów, co wobec napływu gości na wystawę, jest śmiesznie mało. A przecież istnieje kontrakt, istnieje klauzula, na mocy której przedsiębiorstwo tramwajowe za każdy dzień opóźnienia w zaprowadzeniu regularnego ruchu, ma płacić karę gminie. W owym kontrakcie powiedzianem jest również, że wozy kursować mają co pięć minut, tymczasem publiczność musi na owe wozy po pół godziny czekać. Mamy więc prawo żądać od magistratu, aby karę za to niedbalstwo ściągnął z całą bezwzględnością i nauczył niemieckich przybyszów punktualności. To nie koniec zażaleń. Tramwaj elektryczny obowiązał się dojeżdżać aż do bram wystawowych, staje zaś już koło parku, a pasażerowie muszą iść ogromny kawał pod górę piechotą. Powiedziano w kontrakcie, że od kawiarni wiedeńskiej ma się pobierać opłata za dwie sekcye, t. j. 6 i 8 ct. aż do placu wystawy. Tymczasem tramwaj elektryczny oznaczył sobie samowolnie koniec dwu sekcyi koło parku a przez jedno popołudnie, w które dojeżdżał do wystawy, brał opłatę za trzy sekcye. Na domiar złego wozy trzęsą niemiłosiernie, a służba mówi po niemiecku. Na zbytek jej grzeczności także się nie można uskarżać, zdarza się często, chcącemu wejść do wozu, że spotka z brutalnem popchnięciem, i dodatkiem: *kein Platz*, chociaż w wagonie mało gości.

A jeden z obywateli miasta, nadsyła nam następującą skargę: „Gdy po ukończeniu otwarcia wystawy, wyszedłem i wsiadać chciałem do jednego ze sześciu wozów tramwaju elektrycznego, oznaczonego Nr. I., oświadczono mi, że są zamówione; czy istnieje już jakieś akcyjne towarzystwo, które wprzód wydzierżawia na to wagony, aby później publiczność obdzierać, bo innej przyczyny takiego zamówienia wagonów być nie może?“

Literackie wykształcenie. W paryskim dzienniku *Gil Blas* znajduje się nowella pod tytułem: „Les yeux du mort“, w której czytamy następujący dyalog: *On*: „Miała ona oczy Loreley; pani zapewne zna tę balladę Szyllera?“. *Ona*: „A jakże, doskonale. Czytałam także jego utwór „Goethe“.

Lwowskie Koło pań Towarzystwa szkoły ludowej rozpoczęło sprzedaż papieru listowego, biletów i kart korespondencyjnych z winietami i znakami wodnemi Towarzystwa. Papier ten i koperty są bardzo ładne, cena przystępna, a że kupcy papieru otrzymują zwykły handlowy rabat, zatem rozpowszechnienie ich nie powinno ulegać wątpliwości. Wszak tu idzie o zebranie funduszu na budowę domów szkolnych w ubogich gminach, więc dlaczegożbyśmy nie mieli popierać celów szlachetnych Towarzystwa tembardziej, jeżeli to poparcie nie kosztuje nic więcej, tylko tyle co inny papier. Idzie więc o dobrą wolę; nic więcej, aby panowie kupcy w swoich składach polecali te materyały do kupna swoim klientom, a kupujący dopominali się o nie. Ze tak będzie — nie wątpimy, bo przecież każden z nas poczuwa się do spełnienia obowiązków mających tak doniosłe dla przyszłości naszej znaczenie.

Wielki koncert na otwarcie hali muzycznej na wystawie odbędzie się jutro tj. w piątek dnia 8go maja z następującym programem: 1) Kurpiński polonez chór mięszany i orkiestra; 2) Żeleński „Echa leśne“ orkiestra; 3) chóry męskie a capella (pieśni Moniuszki i ludowe); 4) Pieśni ludowe ruskie chór mięszany; 5) Galla, Grossmana i Moniuszki chóry męskie a capella; 6) Lipiński koncert militarny na skrzypce prof. Wolfsthal i orkiestra; 7) Münchheiner „Polonez weselny“ chór mięszany z orkiestrą. Wykonają gal. Tow. muzyczne, „Lutnia“, „Bojan“ i „Echo“ oraz orkiestra gal. Towarzystwa muzycznego w łącznej ilości 350 osób pod wodzą swoich dyrygentów. Wielki ten turniej naszych śpiewaków zapowiada się bardzo interesująco. Bilety sprzedaje księgarnia Jakubowskiego i Zadurowicza.

Serenada na cześć arcyksięcia Karola Ludwika odśpiewaną będzie dziś między godziną 8 a 9tą na placu wystawy przez wszystkie lwowskie chóry męskie z towarzyszeniem orkiestry.

Z Czortkowa nam piszą: Przez cały maj mieliśmy różne po kolei uroczystości w Czortkowie. Jak po inne lata, tak i tego roku odbywało się całomiesięczne nabożeństwo ku czci Bogarodzicy, tym razem połączone z kazaniami. Piękny zwyczaj zachowują tutejsi OO. Dominikanie. Wśród procesyi poza kościołem w uroczystość Bożego Ciała, odśpiewywane bywają cztery ewanielie w czterech językach, mianowicie: łacińskim, greckim, ruskim i syryjskim. Z okazyi ogłoszenia błogosławionymi bł. Piotra i towarzyszy jego, męczenników Dominikanów chińskich, przez Stolicę Apostolską dnia 14 maja r. z., urządzili Ojcowie tutejsi uroczystość ku czci tych błog. męczenników dnia 14 maja rb.

Śliczna uroczystość odbyła się w Czortkowie także 19 maja Za inicyatywą przewiel. O. przeora konwentu tutejszego, duszpasterza parafii i katechety obydwóch szkół, odbyło się przystąpienie dziatwy szkolnej do pierwszej Komunii św. z jak największą okazałością. Dziewczęta były w bieli i z wianuszkami na głowach, a chłopcy świątecznie przybrani, z gorejącemi świecami, podobnie jak dziewczęta przybyli do kościoła w procesyi. Obie szkoły, męzka i żeńska, brały udział w tej chwili uroczystej. Podczas mszy św. celebrowanej przez O. przeora, odśpiewał chór szkolny pieśni nabożne, a następnie po zastosowanej do chwili przemowie O. Celebransa, przystępowała dziatwa szkolna parami do Ołtarza Pańskiego.

Rozrzewniający był to widok dla obecnych, a pp. nauczyciele i pp. nauczycielki usługą swoją koło dziatwy i welonu, podtrzymywanego podczas komunikowania, przyczynili się do upiększenia tego uroczego aktu. Rodzice dziatwy ze łzami w oczach patrzyli na św. obrządek, w którym boski nasz Zbawca z nieba łączył się z niewinnemi sercami ich dzieci. Po mszy św. rozdawał O. przeor w rozmównicy klasztornej dziatwie obrazki pamiątkowo. Jakby dalszym ciągiem tych pięknych chwil była nareszcie szkolna majówka, urządzona 6 bm. na tak zw. „Ściance“, przy udziale muzyki miejskiej.

Majątek Rotschildów. W roku 1800 stary Rotschild ojciec słynnej rodziny bankierskiej niemiał jeszcze nic prawie, bogaczem zrobiły go spekulacye giełdowe z powodu klęski Napoleona pod Waterloo. W roku 1875 dom Rotschildów miał już 5 milionów franków, a obecnie ma dziesięć miliardów (t. j 10 tysięcy milionów franków). Słynny ekonomista niemiecki, dr. Rudolf Meyer, obliczył, że owa fortuna kolosalna podwaja się co lat 15, a zatem w r. 1965 będzie wynosiła 300 miliardów, z której mogłoby się utrzymać 37,120.000 ludzi!! Inaczej zaś mówiąc pochłonie 3 miliardy drobnych fortun po 100.000 franków; dziś już ich mieści w sobie sto milionów. A pamiętajmy, że wszystko to się dzieje bez pracy, dzięki jeno spekulacyom giełdowym.

Kradzież. Z Krakowa donoszą, że wczoraj okradziono tam dra Juliana Dunajewskiego, byłego ministra skarbu. Szkoda jednakże ma być niewielką.

Muzyka wojskowa grać będzie jutro w piątek 8 czerwca w Ogrodzie miejskim. Początek produkcyi o godzinie szóstej wieczorem.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 10, w poł. + 13° R. Barom. 757. Spada. Deszcz.

Bon mot arcyksięcia. Kiedy na audyencyi w pałacu namiestnikowskim przedstawiała się arcyksięciu Karolowi Ludwikowi Rada miejska, arcyksiążę zapytał dra med. Piseka, radnego miasta Lwowa, jaki jest stan zdrowotny miasta?

— Stan zdrowotny jest korzystny—W. Ces. Wysokość — odrzekł p. Pisek.

— Dla miasta, czy dla lekarzy? — zapytał z uśmiechem arcyksiąże.

Z powodu prześladowania religijnego w Rosyi poszukuje miejsca ogrodnik bezżenny w sile wieku z chlubnemi świadectwami, znany mi osobiście od lat 4 jako uczciwy, spokojny i uzdolniony w swoim zawodzie człowiek. Zgłoszenia wprost do mnie: Nowy Sącz, klasztor, *ks. St. Załęski.*

Nowe zastosowanie fotografii. Żelazne mosty kolejowe i niekolejowe, mają jedną wielką wadę, że pękają często bez żadnej widocznej przyczyny i że żaden człowiek opatrzony najlepszymi nawet przyrządami, nie może przewidzieć katastrofy. Różne o przyczynach tego powstawały hipotezy, które jednakże nie przyczyniały się do praktycznego zapobieżenia niebezpieczeństwa. Inżynier Lotz z Giessen więc uciekł się do zastosowania fotografii. Sposób jest bardzo prosty. Część mostu, którą się chce zbadać, fotografuje się za pomocą wielkiego i dokładnego aparatu najpierw wtedy, kiedy most nie jest obciążony, potem drugi raz, kiedy znajduje się na nim znaczny jakiś ciężar. Następnie obie fotografie powiększa się o ile możności, a z ich porównania można wygodnie i dokładnie obliczyć, jakie zmiany w moście wywołuje ciężar i bardzo często fotografia zanotuje bardzo ważne i groźne zboczenia, których w inny sposób spostrzedzby nie zdołano.

Zmarli. Rudolf Sattner, właściciel fabryki kotłów, przeżywszy lat 46, umarł w Kołomyi. — Honorat Sędzimir, uczestnik powstania z roku 1863, umarł w Trościańcu, obok Kołomyi. — Czesław Rodecki, emerytowany dyrektor szkoły realnej we Lwowie, autor podręcznika fizyki, człowiek otaczany ogólnym szacunkiem współobywateli, umarł w 70 roku życia.

Fraszka. (*Z Zagłoby*).

Nasza prasa — dzielna prasa,
Gdy cię kocha — rozkosz duszy,
Lecz jej powiedz, że nie krasa
No, zatykaj nos i uszy.

Przykład: lubisz kluski z serem,
Ona lubi kluski z makiem.
Ergo: jesteś osłem, zerem,
Błaznem, zdrajcą i łajdakiem.

M. Rodoć.

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct., w poniedziałek 1 zł.

Sport.

Wyścigi konne w Wiedniu Zjazd wiosenny.

Dzień czwarty 29 maja.

Największe zajęcie budził tego dnia, jak corocznie, wojskowy bieg myśliwski (Armee-Steeple-Chase), nagroda 400 dukatów ofiarowana przez Jego Cesarską i Królewską Mość, meta 4000 metrów. Z 22 koni mianowanych stanęło do walki 11. Porucznika O. Calma ogier kasztanowaty 4letni „Athleta“ po Gunnersburym od Annetta (jeździec właściciel) 1, rotmistrza R. Kriszta klacz gniada 4letnia „Tiszavirag“ (jeździec por. Kreutzbruck) 2, rotmistrza F. hr. Fürstenberga ogier kasztanowaty 6letni „Ischl“ (jeździec por. A. br. de Pont) 3. Totalizator płacił 25 za 5. Oprócz tego biegu znaczniejsze w tym dniu były:

Nagroda „Parsifala“, Handicap, 6000 koron zwycięzcy, 1000 koron drugiemu koniowi, meta 1600 metrów. Z mianowanych 42 koni biegało 11. B. hr. Esterhazego klacz kasztanowata 4letnia „Leleny“ po Craig Miller od Lelila (52 5 kg) 1, W. hr. Forgacha klacz kasztanowata 4letnia „Szelvesz“ (56 kg) 2. Totalizator płacił 32 za 5. W tym biegu biegała także 3letnia „Panama“, ale nie zdołała odegrać wybitnej roli.

Bieg próby ogierów, nagroda 4000 koron zwycięzcy, 800 koron drugiemu koniowi, dla ogierów dwu i trzyletnich, meta 1000 metrów. Mianowano koni 14, biegało 8. Kapitana Violeta (pseudonim) ogier gniady 2letni „Tokijo“ po Tatra Magyar od Totleany 1, A. hr. Zichego ogier gniady 3letni „Gar“ 2. Totalizator płacił 28 za 5.

Dzień piąty 31 maja.

Pomiędzy siedmioma biegami tego dnia odbytemi, najznaczniejsza była:

Nagroda Buccaneera 15.000 koron zwycięzcy, 1600 drugiemu, 400 koron trzeciemu koniowi; meta 3200 metrów. Zapisano koni 16, biegało 8: hr. T. Fostetics'a kl. kaszt. 4 l. „Dornröschen“ po Fenek od Dirndl 1, p. A. Egyedi'ego kl. kaszt. 5-letnia „Calypso“ 2, ks. F. Auersperga ogier gniady 3-letni „Csako“ 3. Totalizator płacił 19 zł. za 5.

O nagrodę dam, honorową i 2000 koron zwycięzcy, 800 koron drugiemu koniowi, ubiegało się 5 koni z 13 zapisanych; jeździli panowie (Gentlemen-Riders), meta 2000 mtr. Wygrała z wielką łatwością p. F. Scazighino kl. gn. 4 l. „Volosca“ po Fenek od Veglia (jeździec rotmistrz hr. L. Schenk). Bar. Z. Uechtrita og. gn. 4 letni „Alag“ (jeździec porucznik A. v. Mikloa) 2. Totalizator płacił 18 złr. za 5.

Do biegu z płotami o nagrodę Trudom 4000 koron zwycięzcy, 800 koron drugiemu koniowi; meta 2400 mtr.; z zapisanych 7 koni stanęły 4-ry. Ks. F. Auersperga og. kaszt. 5 l. „Turul“ po Barcaldine od Thorgina 1, hr. G. Andrassy'ego kl. g. 5 l. „Delibab“ 2. Totalizator płacił 8 za 5 zł.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 czerwca.

(Z.) Hasło rzucone wczoraj na giełdzie, że załatwienie przesilenia węgierskiego możliwe jest tylko przez powołanie napowrót p. Wekerlego do steru wywołało i dziś w pierwszej chwili znaczną zwyżkę, tem bardziej, że oczekiwano dziś na pewno definitywnej wiadomości z Pesztu, że Wekerle znów będzie prezesem gabinetu. Wiadomość taka jednak nie nadeszła, przeciwnie depesze dzisiejsze donoszą, że Cesarz powołał do siebie kilku innych polityków węgierskich. Roznerwowani spekulanci muszą zatem uzbroić się w cierpliwość i czekać jeszcze, a to ich zniechęca. Z tego powodu haussa, jaka się rozwinęła w pierwszem stadyum, ustąpiła miejsca reakcyi i kursa walorów bankowych obniżyły się znów do wczorajszego poziomu. Niekorzystnie wpłynęła także na tendencyę giełdy niespodziewana wiadomość o dymisyi p. Crispiego. Wczoraj jeszcze nikt nie mógł przypuszczać, że taka ewentualność zajdzie, gdyż izba włoska przyjęła jakkolwiek nieznaczną większością wniosek Crispiego o wybór komisyi dla obmyślenia oszczędności. Z tego powodu renta włoska rosła wczoraj w cenie i dosięgała kursu 80, dziś zaś pod wpływem wiadomości o dymisyi Crispiego spadła na 77½.

Targ walorów przemysłowych był dziś bardzo ożywiony, osobliwie zaś targ walorów górniczych. Pochodzi to stąd, że producenci żelaza w Austryi i Węgrzech odnowili na trzy lata dotychczasowy kartel i przedsiębiorstwom austryackim podwyższono znacznie kontyngent rocznej produkcyi. Praskie akcye żelazne podskoczyły skutkiem tego o 7½ zł. Poszukiwane były także dziś akcye fabryki cegieł (Wienerberg). Fabryka ta zawarła bowiem umowę o dostawę kilkudziesięciu milionów cegieł dla nowo budować się mających koszar wiedeńskich. Cegłę tę dostarczyć ma po cenie 18 zł. 75 ct. z dostawą na miejsce budowy w Praterze.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 349 75, węgierskie 434 25, Anglobanki 151·75, Uniony 258 25, Bankvereiny 127·—, Länderbanki 246 50, Ludwiki 215·—, Czerniowieckie 278·—, Elbethale 260·75, Renta papierowa 98·30, srebrna 98·30, austryacka złota 120·75, 4% austr. renta wal. kor. 97·90, węgierska złota 120·45, 4% węgierska renta wal. kor. 95·05, dukat 5·90—, 20-frankówka 9·96—, marki 12·26, ruble 1·34½.

§ **Wiedeń** 5 czerwca. Spirytus 16·30—16·50.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 7 czerwca. Wszystkie dzienniki zarówno tutejsze jak i peszteńskie donoszą, że stagnacya, jaka nastała w zawikłaniu przesilenia węgierskiego, nie jest wypływem żadnych różnic rzeczowych, gdyż przeciwnie tego rodzaju różnice załatwione zostały zupełnie. Trudność polega jednak w zestawieniu takiej listy ministrów z łona stronnictwa liberalnego któraby wszystkich zadowolniła. Głównie idzie podobno o to, czy minister sprawiedliwości Szilagyi ma nadal pozostać w gabinecie, czy też nie. Zdaje się, że dotychczas nie znaleziono jeszcze wyjścia z tej sytuacyi. Wekerle konferował wczoraj kilka razy z kolegami swymi z gabinetu i z prezesem sejmu Banffy'm. Prawdopodobnie naradzali się nad tem, jakby usunąć te trudności.

Budapester Correspondenz donosi, że jeżeli te narady p. Wekerlego doprowadzą do pomyślnego rezultatu, wówczas p. Wekerle sam poprosi Cesarza o audyencyę.

Wiedeń 7 czerwca. Minister handlu hr. Wurmbrand wystósował do zarządu tutejszej giełdy zbożowej pismo, w którem ubolewa nad powziętą przez ten zarząd uchwałą nie urządzania więcej międzynarodowych targów zbożowych w Wiedniu i wyraża życzenie, ażeby te targi i nadal się odbywały.

Rzym 7 czerwca. Król naradzał się wczoraj z Rudinim i Zanardellim.

Peszt 7 czerwca. Wydział rady miejskiej uchwalił na wczorajszem zebraniu jednomyślnie nadać Wekerlemu obywatelstwo honorowe. Następnie starszy burmistrz miasta w gorącej przemowie przedstawił, jak szczęśliwą czuje się ludność stolicy, gdy Cesarz pośród niej przebywa i postawił wniosek, aby wysłano do Cesarza deputacyę z podziękowaniem za pomyślne załatwienie sprawy przeniesienia koszar peszteńskich po za obręb miasta. Wniosek ten przyjęto jednomyślnie wśród burzliwych okrzyków „Eljen“.

Hr. Khuen-Hedervary odjechał już do Zagrzebia. Dziennik *Budap. Correspondenz* donosi, że uwolniony on już został definitywnie od misyi złożenia nowego gabinetu.

Poznań 7 czerwca. Wczoraj zamknięto wiec katolików polskich.

Bruksela 7 czerwca. Izba deputowanych 70 głosami przeciw 44 przyjęła projekt reformy wyborczej i w ten sposób ukończyła prace nad rewizyą konstytucyi.

Wiedeń 7 czerwca. Dziś o godzinie 7ej rano szalała tu i w okolicy straszna burza. Przez dwanaście minut padał grad. Ziarnka gradu były wielkości gołębiego jaja. Po gradzie nastąpiło oberwanie się chmur. Mnóstwo szyb w domach jest potłuczonych, nawet urządzenia wewnątrz mieszkań są uszkodzone, a w ogrodach i na polach zniszczenie ogromne. Wiele ludzi i zwierząt zostało pokaleczonych. Woda zalała piwnice, a nawet niektóre parterowe mieszkania. Wszelka komunikacya na ulicach była przez pewien czas przerwana.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 7 czerwca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 214·50 do 217·50. Kolej Lwow.-Czern. Jassk. po 200 zł. w. 277.— do 280·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, od 414·— do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 101.—. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·25 do 97.95 Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·20 do 98·90. 4% los. w 41½ lat. 98.20 do 98·90, 4% los. w 56 latach 97 70 do 98·40. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96 90 do 97.60. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·80 do 102 50 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96 75 do 97·45 4% z roku 1893 97 — do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 5·87 do 5·97 Napoleondor 9·90 do —·—. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 —do 1.35·— 100 marek niemieckich 61·10 do 61·50.

Wiedeń dnia 7 czerwca. (godz. 11 w połudn. Kredyty 351.85, kred. węgierskie —.—, Anglob. 151.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 247·10, Akcye tytoniowe 212·—, Staatsbahny 341·25, Lombardy (z kup.) 106.85 Elbethale —. Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·30, Losy tur. —.—.

62)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

— Dobrze, niech pan doktor przywoła ją.

Doktor wyszedł i za parę chwil powrócił z Józefą.

Była to dziewczyna, licząca lat około dwudziestu pięciu, szczupła, składna blondynka, z oczami błękitnemi i zadartym nieco noskiem, łagodzącym surowość bardzo inteligentnej twarzy.

— Moje dziecko — rzekł do niej doktor — oto pani, o której ci mówiłem. Jest ona obłąkaną, ale powinnaś jej słuchać ślepo i postępować z jak największą łagodnością.

Helenie podobało się jej oblicze figlarne, a mimo to poważne.

— Odprowadź panią do jej pokoju, zdejm płaszczyk, nakarm i jeżeli ci się opierać nie będzie, ułóż do snu.

— Czy pozwoli mi pan doktor pójść z niemi? — spytała Helena.

— Niech pani nie idzie, gdyż chciałbym, żeby siostra pani przyzwyczaiła się do swej przyszłej dozorczyni, dopóki pani pozostaje tutaj. Gdyby miała jaką trudność, wtedy wezwie panią.

Helena podeszła do siostry i włożywszy jej rękę w dłoń Szwajcarki, rzekła:

— Idź, Tereso, nie lękaj się, znajdujesz się wśród przyjaciół.

Pani Dangely spojrzała na Józefę, uśmiechnęła się i jak dziecko posłusznie wyszła z nią z salonu.

Wtedy Helena opowiedziała doktorowi, co zamierza uczynić, a mianowicie, że następnego dnia pojedzie z Sybilą do Zurychu, gdzie kupi dla Teresy bielizny i ubranie na zmianę, następnie przepędzi parę dni u doktora, a gdy się przekona, że chora przywykła do nowego miejsca i osób nowych, powróci z przyjaciółką swą do Paryża.

Doktor zgodził się na ten program i ze swej strony powiadomił Helenę, w jaki sposób będzie leczył chorą i jakich środków użyje dla zabezpieczenia jej od czyjejkolwiek niedyskrecyi.

Po godzinie Józefa weszła z oświadczeniem, że Teresa jest zupełnie spokojną. Zjadła obiad bez trudności, następnie udała się na pierwsze piętro do przeznaczonego jej pokoju, gdzie Józefa ją przebrała i ułożyła do snu.

Panna Rochebelle była niezmiernie zadowolnioną, słuchając tych wiadomości. Ale przed udaniem się na spoczynek chciała jeszcze sama zobaczyć siostrę.

Teresa rzeczywiście w małem łóżku, jakich powszechnie używają w Szwajcaryi, spała snem głębokim. Rumieńce barwiły jej policzki; regularny oddech miarowo poruszał jej łonem. Nikt obcy nie powiedziałby, że zdrowie tej prześlicznej istoty, o cerze tak czerstwej, sprawia tyle niepokoju otaczającym ją osobom.

Oczy Heleny zaszły łzami. Widząc siostrę swą pod opieką tych ludzi uczciwych, dbających zarówno o jej zdrowie, jak o bezpieczeństwo od zamachu nowego, uspokoiła się i nabrała odwagi. Odtąd więc będzie mogła całkowicie poświęcić się sprawie Roberta, nie potrzebując bezustannie myśleć o Teresie.

Chora przepędziła noc doskonale.

O godzinie szóstej doktor Steikein kazał ją obudzić i wyprawił na przechadzkę do pobliskiego lasku w górach, przyczem Józefa otrzymała polecenie unikania dróg większych i miejsc zamieszkanych.

Chora nie objawiła najmniejszego oporu i we wszystkiem była posłuszną Józefie, jakby ją znała oddawna.

Helena, przebrawszy się w suknie kobiece, udała się wraz z Sybilą do Zurychu po sprawunki i powróciła dopiero wieczorem.

Przez cały ten dzień Teresa była zupełnie spokojną i stała się znów apatyczną i obojętną na wszystko, jaką była w domu przy ulicy św. Dominika. Jadła z apetytem, nawet większym niż w Paryżu, nie zauważyła nieobecności Heleny i przez cały ten czas dozorczyni pani Dangely nie doznawała z jej strony najmniejszej przykrości.

Próba więc powiodła się i Helena mogła odjechać spokojna.

Teresa znajdowała się w jak najlepszych warunkach, zabezpieczających ją od poszukiwania osób obcych i mogła z całem bezpieczeństwem oczekiwać powrotu męża.

Z tem wszystkiem dla lepszego jeszcze upewnienia się Helena pozostała na dzień następny w Albis. I gdy Józefa odbywała z Teresą wycieczki po wszystkich ścieżkach górskich, doktor Steikein cały swój wolny czas poświęcał miss Andrew i jej wychowanicy. Jeżeli pani Dangely pięknością swoją sprawiła na nim wielkie wrażenie, to Helena, tak nieszczęśliwa, a tak dzielna, wywołała w nim głęboką sympatyę.

W jej charakterze prawym i umyśle otwartym, szlachetnym, nie było ani cienia słabości lub płytkości. Mówiła o wszystkiem z tą pewnością Paryżanki, która wiele widziała i którą nieustanne wystawy, salony i muzea obeznały ze sztuką i postępem cywilizacyi.

Doktór Steikein rozstawał się z nią z żalem.

— Czy pozwoli mi pan pożegnać Teresę? — zapytała Helena, gdy powóz zajechał przed dom.

— Skoro pani chce koniecznie, to dobrze, ale ryzykuje pani, bo jeżeli pod wpływem pożegnania i pieszczot przebudzi się w niej jaka iskra uczucia, to stan jej pogorszy się.

Helena miała tyle odwagi, iż zrzekła się zamiaru pożegnania siostry.

— Doktorze — rzekła tylko — niech pan pamięta o niej. Ach, gdyby pan wiedział, jak drogie jest dla nas jej życie!...

— Niech pani wierzy, że ojciec nie troszczył-by się więcej odemnie—odrzekł lekarz wzruszony.

Kępka niezapominajek uśmiechała się na brzegu przepływającego przez trawnik strumyka. Doktór nachylił się, zerwał je i ofiarował pannie Rochebelle.

— One przynoszą szczęście — rzekł. — Niech pani je zachowa na pamiątkę pobytu w Szwajcaryi. W naszym języku nazywają się one „Vergissmeinnicht."

— Czyli: Nie zapominaj o mnie — odrzekła wzruszona Helena, biorąc kwiaty. — Dziękuję, wezmę je z sobą do Paryża na pamiątkę tego kraju, a zwłaszcza ciebie, doktorze.

Miss Andrew i jej wychowanica ostatni raz uścisnęły dłoń doktora, siadły do powozu i pochyłą drogą górską odjechały ku stacyi Horgen.

Doktór Steikein, stojąc na progu domu, długi czas spoglądał za odjeżdżającymi i gdy stracił je z oczu, szepnął, powstrzymując napływające do oczu łzy:

— Mój Boże, gdyby córka moja żyła, byłaby już w tym samym wieku i może podobna do tego dziecka niezrównanego. Na pamiątkę mego anioła powinienem przyczynić się do szczęścia Heleny de Rochebelle.

XXVI.

Oszukana.

Godzina dwunasta wybiła na wszystkich zegarach dzielnicy.

Nadina, która zasnęła dopiero o wschodzie słońca, przebudziła się. Spojrzała na stojący na stole zegar i zdziwiła się.

— Jakże ja długo spałam! — szepnęła. — Co za sen okropny! Na szczęście, skończy się to wkrótce.

Rozejrzała się w koło siebie, jak gdyby obawiała się, czy kto nie podsłuchuje jej. Ale była samą. W częstych wycieczkach swoich do Rochebelle dla odwiedzenia męża hrabina, wracając do Paryża, nigdy nie brała z sobą pokojowej i w ogóle nikogo ze służby, pozostawiając ją na miejscu, w Normandyi, i chociaż przyzwyczajona zawsze do otaczania się całą gromadą służących i posługiwania się nimi nawet dla podniesienia chustki lub wzięcia książki z obok stojącego stolika, w Paryżu jednak zadawalniała się usługą tylko Justyny, żony odźwiernego, pełniącej obowiązki kucharki i Zofii, żony woźnicy.

Uspokojona panującem w około milczeniem, Nadina uniosła się na łóżku i zamyśliła się. Po niejakim czasie ponury płomień błysnął w jej oczach i usta szepnęły:

— Tej nocy skończy się wszystko!

Zadzwoniła i nie czekając przybycia Justyny, zeskoczyła z łóżka.

W tejże chwili weszła żona odźwiernego.

— Dla czego nie przyszłaś wcześniej? — zapytała hrabina de Rochebelle.

— Przychodziłam kilka razy, ale pani hrabina spała snem tak smacznym, że nie śmiałam budzić.

— Czy nic nowego u moich córek?

— Nic, pani hrabino.

— Dobrze. Ubierz mnie.

Wiemy już, że ani Helena, ani Sybila, ani Teresa nigdy nie siadały do jednego stołu razem z Nadiną. Żyły one oddzielnie, jak gdyby hrabiny nie było w pałacu.

Nadto Justyna, która była jeszcze przy narodzeniu Heleny, miała dla niej cześć prawie bałwochwalczą. Wiedziała doskonale, że miss Andrew i jej dwie wychowanice niietylko nie jadły śniadania w pałacu, ale, wyszedłszy bardzo rano, do tego czasu nie wróciły do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.